

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY

Nr. 5 STYCZEŃ 1935. ROK XI.

NA SCENIE POZNAŃSKIEJ.

— Więc pani była wczoraj na »Dziadach«? Przecież to strasznie nudne. Szkoda poprostu wieczoru! — oświadczyła mi pewna osoba.

A ja wcale nie uważam tego wieczoru za stracony...

Wobec ogromnego powodzenia lekkich komedyj u dzisiejszej publiczności, wystawianie »niemodnych«, lecz nieśmiertelnych sztuk jest uprzejmym ukłonem teatru w stronę literatury pięknej — ukłonem bezinteresownym.

Pisane w różnych okresach życia poety nie mają »Dziady« wyraźnej spoistości kompozycyjnej, grzeszą brakiem proporcji między poszczególnemi częściami. Dlaczego jednak — nawet po kilkakroć oglądane na scenie — za każdym razem wydają się inne, dostrzegamy w nich corazto nowe szczegóły?

Otóż polega to na bogactwie pierwiastków i wątków myślowych, zamkniętych w »Dziadach« — pierwiastek ludowy, miłość kobiety, prometeizm. Są to różne zagadnienia, które w »Dziadach« zazębiają się i przenikają nawzajem.

Przy inscenizacji sztuki nasuwa się niewątpliwie pytanie: Czy równomiernie podkreślić wszystkie te pierwiastki, czy tylko uwypuklić jedno zagadnienie. W takim wypadku nastąpi zawsze w pewnej mierze przebudowa sztuki lub nawet obrazowa parafraza dzieła.

Z wielkiem zaciekawieniem poszłam do Teatru Nowego na »Dziady«, gdyż zapowiadano, że ukażą się w nowoczesnej inscenizacji dyr. Trzcińskiego. Pomijam szczegółową ocenę gry aktorów. Rozprawiła się z nią »z urzędu« prasa codzienna, wykazując pewne braki i niedociągnięcia w obsadzie niektórych ról. Chcę tylko scharakteryzować sam pomysł, który odbiega od dotychczasowego szablonu w wystawianiu »Dziadów«.

Koncepcja dyr. Trzcińskiego jest oryginalna i po raz pierwszy wypróbowana przez niego w r. 1923 w Krakowie.

Jest to niejako narzucanie myśli zapomocą obrazów. Może w tem trochę wpływu techniki filmowej, która zresztą niejednokrotnie przedostaje się na deski dzisiejszego teatru. Szczególnie w pierwszej części widowiska przeważał ten moment. Np. dwie szukające się dusze« ukazują się kolejno w postaci Maryli i Gustawa z lewej i prawej strony sceny. Mimowoli dzięki takiemu rozmieszczeniu postaci widz kojarzy w myśli parę kochanków i z łatwością rozumie, co autor chciał wyrazić.

Podobne było wrażenie podczas ukazania się ducha Gustawa. Na tle przerażonego szarego tłumu umieścił reżyser czarną, odcinającą się sylwetkę Maryli, wpatrzonej uparcie w zjawę z czerwoną wstęgą od serca do ziemi. Choćby to był tylko t. zw. »żywy obraz«, bez żadnego słowa wyjaśnienia — widz odczytałby łatwo jego treść.

Zupełnie specjalne było opracowanie III części »Dziadów«. Inscenizator pominął pierwiastek prometejski uwydatniając tragedję, rozgrywającą się w duszy artysty na tle własnych przeżyć. Przez uwypuklenie walki między szatanem i aniołem o zdobycie tej duszy, zatarły się w znacznej mierze idee szersze, ogólniejsze, które zawiera ta patrjotyczna część utworu. Blado wypadło opowiadanie Sobolewskiego, które przecież należy do najpiękniejszych rozdziałów »Dziadów« i jest wspaniałym dokumentem polskiej martyrologji narodowej XIX w.

Przyznaję, że takie tematy, w których pławił się romantyzm już nie »chwytają« w dzisiejszej epoce wyścigu pracy i twórczości. Więc może w zrozumieniu ducha czasu dyrekcja Teatru Nowego »przefasonowała« utwór na scenie. *Z. K.*

NA POMNIK MICKIEWICZA W WILNIE.

Komitet Główny Budowy Pomnika Adama Mickiewicza w Wilnie, pod protektoratem Ignacego Mościckiego, Prezydenta Rzeczypospolitej, Józefa Piłsudskiego Marszałka Polski, zwraca się do całego Narodu Polskiego z odezwą:

My, obywatele najbliższej Ojczyzny Adama Mickiewicza, Ziemi Jego dzieciństwa i młodości, zwracamy się do całego Narodu Polskiego o współpracę z nami w dziele wzniesienia w Wilnie pomnika naszego Wieszcza.

Dziś i Jutro

pismo dla młodzieży

Kraków.

Rok XI. 1934. Styczeń. Nr. 5.

Refleksje noworoczne

Okres czasu nazwany rokiem już po raz 1935-ty rozpoczyna swój bieg wśród ludzkości, która jako pierwszy ewenement swej ery uznała przyjście na świat Jezusa Chrystusa.

Każdy początek, nowatorstwo każde budzi w nas silne zainteresowania. Nasuwa wiele wątpliwości, obaw, niepewności i nadziei.

Zatem utarł się zwyczaj w całym świecie składania sobie życzeń noworocznych.

Od rozpoczęcia ery chrześcijańskiej, zwrotnego punktu w dziejach ludzkości minęło 1934 lat, a więc 23.208 miesięcy, 92.832 tygodni, 649.824, dni, miljony godzin, miljardy minut — ... a jednak jeszcze 1.000.000.000 ludzi nie uznało Chrystusa jako Twórcę ery chrześcijańskiej, tylko 700.000.000 uwierzyło w ten ewenement dziejowy, który ludzkości przyniósł dobro najwyższe i niezniszczalne i realne wartości wieczne.

Musi istnieć jakiś błąd w ludzkości już uchrześcijanionej, który tamuje postęp prawdy. Skoro Chrystus przyszedł na świat i przeszedł przezeń »dobrze czyniąc«, czemu jeszcze dotąd za Nim wszyscy nie idą? Kiedy zatem chrześcijaństwo ogarnie wszystkie kontynenty i spełnią się słowa Chrystusa »będzie jedna owczarnia i jeden pasterz..«?

Te i tym podobne myśli cisną się natarczywiej niż zwykle w dzień Nowego Roku, który najpewniej podobny do swych poprzedników tylko o znikomą ilość powiększy czcicieli prawdziwego Boga a ilu... ilu przez apostazję od Niego odstąpi?

Jeżeli postęp, kultura, wynalazki w ostatnich dziesiątkach lat tak szybko i wszechstronnie się rozwijają, czyż tylko w jednym kierunku XX wiek będzie tak nieaktywny, zacofany, oportunistyczny i nie potrafi dotrzeć do najdalszego krańca świata i najgłębszych tajników dusz ludzkich, by tą prawdą realną — *istnieniem Jezusa Chrystusa*, ludzkość przepoić?

Wszak dzisiejsze wynalazki z dziedziny techniki, lokomocji, radja, filmu, są poniekąd powołane do rozprzestrzenienia kultury, wiedzy i religji? Zatem gdzie tkwi przyczyna powolnego rozwoju idei chrześcijańskiej? Badacze w większości upatrują tę przyczynę nie w złej organizacji kościoła katolickiego, która jest potężna i na niej do dziś dnia wzorują się państwa i narody, którym leży na sercu prawidłowy rozwój i potęga.

Aby szerzyć jakąś ideę trzeba poznać przedewszystkiem dogłębi potrzeby i nastawienie tych, którym ją wpoić zamierzamy, trzeba zatem wczuć się w tętno serc ludzkich, wmyśleć się w nastawienie umysłów, aby przez to dostosować się do tła epoki, w której pracować powinno. Trzeba dostosować się w czem i jak można do postępu, a przez to stać się aktualnym, »dzisiejszym«, jak to się nieraz mówi w potocznej mowie.

A więc przejdźmy myślą etapy towarzy-

szące rozwojowi kościoła i giętkości z jaką ludzie danej epoki dostosowywali się do potrzeb chwili, a przekonamy się, czy nasza epoka idzie konsekwentnie w tym kierunku, jaki jest wzkazany dla doby obecnej.

Pierwsi chrześcijanie prześladowani, krwią niewinną własną zbroczeni, kryją się w katakumbach, aby uchronić się od zupełnej zagłady — to czasy defensywy chrześcijańskiej.

Drugi okres, to, gdy rodząca się kultura chrześcijańska odwraca się w poczuciu samoobrony od zamierającej kultury pogańskiej. Wtedy poprzez życie pustelnicze wytwarza się asceza średniowiecza pogardzająca świadomie wartościami doczesnemi na rzecz dóbr duchowych.

Dziś przeżywamy ciekawy okres, nazwać go można epoką rewolucyjnego chrześcijaństwa. I jeżeli stwierdzamy i ubolewamy, że za powoli ideały chrześcijańskie rozszerzają się po świecie, wina przedewszystkiem spada na świeckich chrześcijan, którzy za mało wczuwają się w potrzeby ludzkości i nie idą ławą z ofensywą chrześcijańską.

Hasło rzucone prze Ojca św. Piusa X „Odnowić wszystko w Chrystusie" musi przepoić miljony chrześcijan. Nie jednostka, ale masa wielkiego dzieła odpoganienia ludzkości dokona.

Defensywa i krycie się w katakumbach pierwszych chrześcijan teraz nie na miejscu. Nie czas przerażać ludzi ascezą średniowiecza. Nie czas uciekać na pustynie zdala od świata, ale trzeba do ludzi się zbliżać z przeogromnym zapałem miłości, dobroci, ciepła, prostoty, wesela i radości. Nie znaczy to, aby niszczyć i łamać ramy eteki katolickiej, one mają zawsze istnieć, tak samo szerokie jak je ustanowił Chrystus, ale dostosowane do dzisiejszego człowieka. Tak tę kwestję zrozumiał młody student Włoch — Jerzy Frasatti, lotnicy; Artur Scheur, kap. De Plesis, Pani Leseur, Maggi Lequez, S. Róża pielęgniarka.

Gdy katolicyzm osób świeckich pozbędzie się wiotkości i anemicznej działalności, jeżeli młodzież stanie na stanowisku zdecydowania katolickiego i bez kompromisu wejdzie na drogę pełną zapału dla idei wyższej, wtedy dobrze dziać się będzie — XX wiek odpowie swojemu zadaniu.

Nie, katolicyzm nie jest ciasny. Pozwala on z życia brać całą radość, ale radość bezgrzeszną, tę radość jaką daje ludzkości świat cały stworzony i to, co ludzkość odkryła i dała człowiekowi do użycia, i te wszystkie walory życia społecznego, towarzyskiego, te radości z czynienia dobrze innym, z ukochania ludzkości.

Wynalazki, postęp, kultura, sporty, rozrywki, wszystko stoi otworem przed człowiekiem dzisiejszym, obwarowane granicą prawa Bożego, której przekroczyć nie wolno.

Tak łatwo być dobrym! W ten Nowy Rok pójdziemy radośnie, z jasnem spojrzeniem w przyszłość zdobywać świat chrześcijański. Przed nami świat otwarty, bo wkoło nas są ludzie żądni naszego czynu, słowa, uśmiechu wolnego od brudu i zła. Całe zastępy młodych pójdą za zapaleńcami dobra!

Zofja Trzaska.

Tragedja piękna.

Nie znam nic smutniejszego i nic nie jest bardziej tragiczne
Jak piękno sponiewierane, podeptane przez tłumy uliczne.
Gdy ludzie nie rozumiejąc jego klasycznej powagi, nie uszanują wielkości.
Spoufalą się z niem za pan brat, i do własnej zniżą małości.
Surowe jego rysy, majestat bezbronny, przez własne głupstwo fatalne
Przerobią na pośmiewisko w ładną reklamę, słodką i banalną.
I bardziej buntującego niema nic w naturze
Jak wielkie piękno zhańbione w tragicznej karykaturze.
A z wszystkich igraszek ziemi niema straszniejszej igraszki,
Jak gdy człowiek umniejszy Boga do miary swej czaszki
I z religji, która jest wielką jak gromu huk, mocna i święta,
Uczyni ckliwo — słodką dewocję uśmiechniętą.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Niema nic smutniejszego, i nic nie jest bardziej tragiczne,
Jak gdy piękno sponiewierane w pyle wlecze swoje skrzydła śliczne.

S. M. T.

Z okazji trzydziestolecia pracy naukowej
Pana Prezydenta Mościckiego

W grudniu 1934 r. nauka i przemysł polski obchodziły uroczyście trzydziestolecie pracy naukowej Pana Prezydenta Mościckiego. Ciężka to była praca, prowadzona wśród wielkich trudności finansowych, a jednak pełna wartościowych zdobyczy.

Skończywszy wydział chemji technicznej na politechnice ryskiej, nie mógł Pan Prezydent pracować na terenie swego kraju. Pięć lat pobytu w Londynie poświęcone były pracy naukowej i niepodległościowej.

Właściwą swą pracę naukową rozpoczął jednak Pan Prezydent z chwilą, gdy został mianowany asystentem przy katedrze fizyki na uniwersytecie we Fryburgu. Problemem, który przedewszystkiem zajął umysł młodego uczonego, był problem azotowy, odgrywający ważną rolę w przemyśle i rolnictwie.

Kwas azotowy — podstawa przemysłu azotowego jest w technice produktem nader ważnym jako środek utleniający. Doniosłe też jest jego działanie nitryfikujące i estryfikujące na najrozmaitsze związki organiczne. Dzięki temu działaniu powstają związki t. zw. nitropochodne i estry, które zawierają w sobie tak wielkie ilości tlenu związanego z azotem, że bardzo łatwo ulegają reakcji spalania połączonego niekiedy z wybuchem. Z pośród owych połączeń związków organicznych z kwasem azotowym wywodzą swoje pochodzenie najważniejsze środki wybuchowe, że wymienię tylko nitroglicerynę czyli dynamit, bawełnę strzelniczą, kwas pikrynowy i t d. Innego rodzaju nitrozwiązki organiczne (czyli organiczne związki z azotem) są substancją wyjściową dla wielu barwików. Prócz tego kwas azotowy bywa stosowany do całego szeregu środków leczniczych i do wyrobu sztucznego jedwabiu.

Nietylko jednak w przemyśle odgrywa azot tak ważną rolę: doniosłe ma on znaczenie w rolnictwie. Rcśliny, oprócz węgla, wapnia, fosforu, potrzebują do swego wzrostu i azotu. Azot ten czerpią częściowo z powietrza, częściowo z gleby, w której rozpuszczone są sole kwasu azotowego, czyli t. zw. azotany. Gdzie jednak natura poskąpiła tego pokarmu roślinom i zwłaszcza, gdzie hodowla roślin prowadzona jest na większą skalę (mam na myśli uprawę n. p. zbóż), tam człowiek musi im przyjść z pomocą przez zasilanie gleby sztucznemi nawozami.

Długo za nawóz sztuczny, a także jako surowiec do wyrobu kwasu azotowego służył azotan sodowy, czyli saletra chilijska, której pokłady znajdują się w Chile, w Ameryce południowej. Produkcja kwasu azotowego z saletry polegała na działaniu w podwyższonej temperaturze kwasu siarkowego na saletrę, przyczem otrzymywano kwas azotowy i kwaśny siarczan sodowy. Ten sposób fabrykacji kwasu jakkolwiek prosty, był kosztownym ze względu na dowóz saletry aż z Chile i wymagał dużych ilości stężonego kwasu siarkowego oraz materjału opałowego.

Te trudności nasunęły uczonym myśl, że do wyrobu kwasu azotowego możnaby użyć olbrzymich ilości azotu zawartych w powietrzu. Już z końcem XVIII wieku uczony Cawendish stwierdził, że przeskakiwanie iskier elektrycznych przez powietrze powoduje połączenie się azotu z tlenem na tlenek, a później na dwutlenek azotu. Projekt ten, poprzez próby chemika angielskiego Williama Crookes'a, zrealizowany został w 1902 roku przez norweskich uczonych Birkeland'a E, Eyde'go, a niezależnie od nich przez prof. Mościckiego w r. 1903.

Pierwszą na świecie fabryką kwasu azotowego z powietrza była fabryka we Fryburgu, założona z inicjatywy prof. Mościckiego. W związku z wyrobem kwasu azotowego poczynił Pan Prezydent szereg wynalazków jak kondensatory elektryczne o wysokiem napięciu (100.000 Volt), piec elektryczny do utleniania azotu z powietrza oraz wieże absorbcyjne, w których dwutlenek azotu pod wpływem wody przechodzi w kwas azotowy.

W 1912 roku zostaje Pan Prezydent mianowany profesorem zwyczajnym chemji fizycznej i elektrochemji technicznej Poli-

techniki Lwowskiej. We Lwowie organizuje Instytut Badań naukowych i technicznych »Metan«, przekształcony w Chemiczny Instytut Badawczy, przeniesiony w 1926 roku do Warszawy.

Do wyżej wspomnianych wynalazków Pana Prezydenta dołączają się nowe metody produkcji cyjanków i żelazocyjanków, przeróbki emulsji ropnej czyli, odpadków z destylacji ropy naftowej oraz cały szereg ulepszeń w dziedzinie przemysłu azotowego. Nie ustając w swej pracy ani na chwilę, Pan Prezydent buduje fabrykę kwasu azotowego »Azot« w Jaworzniu.

Nadszedł rok 1922, w którym Liga Narodów orzekła ostatecznie która część terytorjum plebiscytowego Śląska ma dostać się w ręce polskie. Na wróconych Polsce ziemiach istniała fabryka związków azotowych w Chorzowie. — Cały personal techniczny i administracyjny składał się wyłącznie z Niemców. Z chwilą objęcia Chorzowa przez władze polskie wszyscy Niemcy ustąpili zabierając ze sobą plany i szkice dotyczące urządzeń i samej produkcji. Było to zrobione z tą myślą, że Polacy, pozbawieni jakichkolwiek wskazówek technicznych i administracyjnych, zgubią się w tym skomplikowanym labiryncie maszyn i zwrócą się do Niemców o pomoc, a może całą fabrykę oddadzą w niemieckie ręce. Wtedy na czele fabryki stanął profesor Mościcki. Wolą i niezmożoną energją przy współudziale polskich inżynierów nietylko uruchomił fabrykę, ale z przedsiębiorstwa, które dla Niemców było deficytowem, stworzył placówkę dającą skarbowi państwa dochody.

Nie na tem skończyła się działalność Pana Prezydenta. Rozumiejąc doniosłość przemysłu azotowego, a zwłaszcza nawozów sztucznych, ponieważ 60% ludności naszego kraju zajmuje się rolnictwem, zainicjował Pan Prezydent budowę fabryki nawozów sztucznych pod Tarnowem, w miejscowości, której na pamiątkę założyciela nadano nazwę Mościce. Fabryka ta obok Gdyni jest chlubą Polski i wyrazem jej twórczej pracy. Cały ogrom prac, począwszy od najprostszych w terenie, poprzez budowę hal i domów mieszkalnych, montowanie aparatów, aż do wykończenia wszystkich urządzeń, został wykonany w półtrzecia roku, tak, że w grudniu 1929 roku Mościce pracowały »pełną parą«.

I teraz jeszcze stojąc u nawy państwowej nie zaniedbuje Pan Prezydent pracy naukowej. Ostatnim Jego wynalazkiem jest aparat do wytwarzania górskiego powietrza, który może znaleźć szerokie zastosowanie w licznych instytucjach publicznych jak n. p. biurach czy szkołach. Wszak od warunków w jakich się praca odbywa zależy jej wydajność i zdrowotność.

Dorobek naukowy Pana Prezydenta jest przeogromny. Polska z wdzięcznością i dumą spogląda na swego Prezydenta, który jest nietylko dobrym i ukochanym sternikiem państwowej nawy, ale także bardzo zaszczytnie reprezentuje polską myśl twórczą w dziedzinie nauki.

Iza Szymusikówna.
stud. chemji U. J.

Pamiętaj o tem...

Jeśliś Polakiem jest i Polska ci miła,
a serce twoje poza dom twój sięga —
jeślić raz jeden chociaż ci się śniła
twej niepodległej ojczyzny potęga...

Pamiętaj o tem, aby lśniący lemiesz
polskim wykuty był u siebie młotem,
by płachta siewna była z polskiej tkalni —
z naszej kądzieli — naszym wilgna potem.

Jeśli u siebie i nasz kupisz towar —
fabryczny komin każdy wnet zadymi,
a bezrobotny nie pójdzie za morze,
bo chleb dla dzieci znajdzie między swemi.

Siłą jest naród, potęgą i basta! —
nawet jest zbędną mówić o tem rzeczą,
nam ze swojego chleb najlepszy ciasta,
z naszych rąk zioła nas najlepiej leczą.

Więc gdy tkaninę kupujesz, czy metal —
owoc to będzie, czy pachnąca woda:
— bacz zawsze na to, by naszemi były,
że nie na polski towar — grosza szkoda!

Niewart szeląga, kto grosza nie ceni —
za obcy towar, kto obcemu płaci!
swoje u swego kupuj, a wnet się przekonasz,
że nawet grosz twój ojczyznę wzbogaci!

Franciszek Beciński.

POLOWANIE... POLOWANIE...

Pada drobny śnieg, właściwie mży. Małe płatki spływają z nieba i z drwiącym śmieszkiem pokrywają lasy, pola, łąki, konary drzew. Myśliwi zebrani na ganku białego dworu w Tomczycach nie widzą, jak w oczach ich dokonywa się cud zimy. Okutani w dachy, dopalając papierosy, klną śnieg i pogodę. Sześć bryczek wiozło wśród mgły porannej 12 ludzi, którzy, z mocnem postanowieniem uśmiercania każdej zwierzyny, opuścili biały dom. Konie parskają, wiatr hula w zawody ze śnieżkiem, mgła opalowa spowija świat. Polowanie... polowanie... Wsie, niby wielkie, białe kopy, śpią jeszcze. Gdzieniegdzie pies zaszczeka, ptak z krzykiem wzbije się w niebo, zresztą cisza senna. Nastrój udzielił się myśliwym. Przeżywają sny, marzą o trofeach i... poprostu śpią »we środku«. Pierwsze konie wjeżdżają w las zaczarowany zimą. Stoi w swej mroźnej bieli nieruchomy, jakby zastygły pod brzemieniem swej własnej urody.

Droga leśna, pełna niespodzianek w postaci wykrotów, dołków i kamieni, zmusza jadących do zastanawiania się nad sytuacją i do wejścia w okres »życia«. Raz po raz wybuchają śmiechy, rozmowy, przycinki. Twarze rozpromienione nadzieją, a zaczerwienione od mrozu nie wyrażają tej grozy, jaką wzbudzać musi w biednych zającach ta niespodziewana wrzawa. Dojeżdżają. Wyciąganie strzelby, naboi, kartek i rozchodzą się na stanowiska. Już stoją. Pierwszy miot pełen jest zawsze majestatycznej ciszy. Broń cię Bóg, byś stała z myśliwym, na którego żadne zwierzę nie wyjdzie w czasie tego miotu. Okażesz się »pechową« i po skończonym miocie powiedzą ci grzecznie, ale stanowczo z miłym uśmiechem, który ma łagodzić przykrość rozstania: »Pani odemnie pewnie ucieka«. Gra trąbka. Myśliwi zamieniają się w oczy i uszy. Z pod każdego krzaczka może wyjść zając. Głos trąbki rozpływa się we mgle, budząc strach w sercach zajęczych. Chwila ciszy. Wzdłuż linji myśliwych biegnie oczekiwanie. Cisza.... i pierwszy strzał. Na linji ożywienie. Co? gdzie? jak? Ale niema czasu na odpowiedzi. Słychać chrzęst. Idzie. Myśliwy tężeje. Ręka podnosi się do strzału. Chwilę lufa dygocze jakby szukała oparcia w powietrzu i... huk. Zając pada. Strzelec prostuje się. Zdala dolatuje hałas, nawoływania, krzyki, dźwięk kołatek — nagonka idzie! Strzelby posłusznie się podnoszą, huk, śrót rozsypuje się wzdłuż drzew. Grzmią 12-stki i 16-stki, sekundują im 20-stki, Hol-



Photo-Plat.

Nagonka idzie...

land, Piper, Syrena, Grunner, Zauer obwieszczają śmierć zwierzynie. Nagonka wychodzi na linję myśliwych. Miot ukończony. Zajeżdża wóz po zające. Dokoła niego sypią się myśliwi. »Widziałem lisa« — »Czemuś nie strzelał?« —»Był za blisko«! — »Bajki!«. — »Widziałem go jak ciebie w tej chwili i....« — »Panowie proszę, idziemy, 2-gi miot«. Kończą się gwałtowne utarczki, niegroźne, każdy bowiem chowa siły na.. zająca.

Strzelba na ramię — naboje — »Pani idzie ze mną...«. Małe zamieszanie przy wsiadaniu. Jadą... »Janie, stójcie — 10-e stanowisko«. Wygrzebują się z baranicy i wolno idą »do siebie«. Stołeczek — czekolada — czekają. Długi miot, można pogawędzić.

Wzdłuż linji przechodzi nadleśny. »Panie, jak tu będzie? — Zapytany ma filuterną minę: »Kto wie, proszę pana, tu i lisek potrafi być«. I odchodzi dalej. Oświadczenie to robi pewne zamieszanie. Ale rozmyślając fachowo dochodzą do przekonania, że w każdym razie lis pójdzie na flank lewy, niema więc co się bać. Prawe skrzydło bawi się beztrosko, składa sobie wizytę. Sypią się przycinki i żarty. Polowanie.... polowanie... Trąbka długim jękiem obwieszcza ruszenie nagonki. W lesie zaczyna się coś dziać i pod wpływem tego dziwnego niemego poruszenia myśliwi milkną i rozchodzą się. »Uważaj, staję trochę bliżej«. — »Nie gadajcie zbyt głośno«. Osta nie uwagi i cisza zapada. Patrzą w ów cichy las, który do życia powołał senat niosący śmierć. Do uszu stojących na 10-tym stanowisku dolatuje lekkie: »pssst«. Coś się dzieje. Z lewej strony miga lisia kitka. »Defilator! Przebiega lekko przed nieruchomą linją strzelców. Pada strzał. Lis się dezorjentuje. Ucieka. Nagonka jest blisko. »Trzymaaaaaj« — brzmi. Rudzielec wypada. Strzały. Cisza. Padł? — nie, jeszcze ktoś poprawia — niesłychane! Już! Napływają z głębi lasu, głosy gajowych. »Powoli powoli, nie lecieć«. »Panie dziedzicu — na prawo«. Myśliwy obraca się — zając przysiada przerażony. Potem zrywa się i wpada poprzez linję w las. Dwa strzały. »Poszeeedł«. Jakiś chłopak wyrywa się. Grzmi linja. Nagonka wrzeszczy. Padają zające. Polowanie... polowanie.... Koniec miotu. »Panie dziedzicu, alem się zmachał za tym zającem«. Chłopak trzyma w ręku nieszczęsnego kota. Myśliwy uśmiecha się. »Głupstwo, że dobity, grunt, że jest. Nikt nie widział, jak to tam było«. Krótkie, ale obfite śniadanie w leśniczówce. Obliczanie, kto ile zająców zabił. Znowu przycinki i wsiadanie pospieszne. I tak mioty idą za miotami. Zmierzcha się. Liljowy, zimny zmrok otula drżące szaraki, usypia las, każe myśliwym myśleć o białym dworze, gdzie pani jego przywita ich ciepłym obiadem. Jak miło wracać w zimny wieczór dobremi końmi — pod baranicą.... Wracają do rzeczywistości po dniu spędzonym wśród mrozu, śniegu i lasu. Człowiek zbył troski na parę godzin, odmłodniał, zaczerpnął dobrego natchnienia, jakiem darzy zawsze natura. To nic, że na biurku zastanie po powrocie do domu stosy protestów, listy »przykre«, ale obecnie takie modne, zawiadomienie z urzędu skarbowego... może licytację — furda — teraz jest polowanie... polowanie!...

Dena Mazaraki.

Z polowania na Polesiu u Radziwiłła.

Photo-Plat.



METAFIZYKA

Chodź ze mną w międzyplanetarne szlaki
Przez piach złocisty rozsypanych gwiazd,
Przez mlecznej drogi szerokie gościńce
Aż zmaleje nam w oczach srebrny ekran ziemi
Do wielkości małego w przestrzeni punkciku,
Co drżące rzęsy świata w wiecznej nocy mruży;
Aż zajdziemy w krainę, gdzie czas przerażony
Z uduchowioną złączony przestrzenią
Sunie w tajemniczości cichych, świetlnych lat...
Chodź! Wyrwiemy się z życia platońskiej jaskini,
Z koła zjawisk, gdzie byliśmy dotąd zamknięci,
Gdzie człowiek widział to, co miał przed nosem...
I poprzez wieków długie perspektywy
Na drobnym pyłku ziemi, co wdali migoce
I rzęsy światła mruży w długie, wieczne noce,
Będziemy szukać ludzkości — Mozolnie
I długo będziemy szukać teleskopem.
A gdy ją w trudzie wielkim odkryjemy
I z łakomą radością odkrywcy
Zaznaczymy jej istność na karcie wszechświata,
Wtenczas, w niewymierzalnym tłumie jej małości
Rozłożonym na lata i na pokolenia
Zaczniemy siebie szukać — bladzi z przerażenia,
Będziemy siebie szukać... swej wielkości
Na pyłku naszej gwiazdy — wśród morza
[ludzkości.

— Ach jeśli człowiek wtenczas nie uwierzy
W absolut, co panuje w milczeniu wieczności
Wśród fosforycznych gwiazd,
Palących się w przestworzach widmowym
[płomieniem
I w obliczu srebrnego półkuli ekranu,
Jeżeli, wtenczas jeszcze z dziecinnym uporem
Będzie o powszedniości mełł ni to, ni owo,
Że o Bogu wie tyle,
Ile się zmieści w jego książce do modlenia —
To go zrzucić! Niech ginie w międzyplane-
[tarnym pyle,
Bo choć ma człowieczeństwo, on nie ma sumienia.
— — — — — — — —
Ach, kto z rzeczywistością stanie oko w oko
A nie zadrży — i kto w pył nie padnie
I obuwia nie zrzuci z nóg, jak zrzucił Mojżesz,
Gdy drżał ze strachu przed krzem płomienistym,
Kto w swojem sercu nie ma takiej struny,
Która na słowo **Bóg** *w zachwycie staje,*
Ach — taki człowiek, tylko człowieka udaje,
Bo wielkim jest Bóg — z perspektywy
Dziewiczych szlaków **całości** *i bytu —*
O — oczy nasze, oczy przerażone,
Niezupełnością chore, głodne szczytów.

S. M. T.

PRZYPADEK

Jadwiga Bilwin.

Halszka Kownacka znudzona patrzy przez okno wagonu na peron krakowskiego dworca. Jest sama w przedziale drugiej klasy pociągu pospiesznego. Do odjazdu jeszcze piętnaście minut. Narazie nikt nie zajął miejsca w jej przedziale. Niecierpliwi ją to, perspektywa podróży bez towarzystwa przeraża. Zniechęconym ruchem ściąga małą walizę na ławkę i ostrożnie z pod białej muślinowej sukni wyjmuje książkę do czytania. Po ustawieniu walizy na miejscu pogrąża się w lekturze. Dzieje „Krystyny, córki Lavransa" zajęły ją nadzwyczajnie. Lubi literaturę krajów północnych.

Do rzeczywistości przywołał ją hałas zatrzaskiwanych drzwi i gwizdek — hasło odjazdu. Pociąg zwolna ruszył, ludzie na peronie usiłujący mu nadążyć, ciągle się oddalali, jeszcze widać ruch rąk i coraz mniej wyraźny zarys postaci, aż w końcu i to się zamazało. Pociąg wytoczył się z pod kopuły dworca i mknął szybciej, coraz szybciej. Do przedziału ktoś wszedł, głos męski, melodyjny zapytał: Czy można? Halszka odwróciła się od okna. W drzwiach przedziału stał wysoki, zgrabny porucznik. Skinęła głową. Młody oficer umieścił swoją walizę obok jej walizy. Mimowoli zauważyła, że walizy są indentyczne. No pewnie, sprzedają na tuziny, kluczyki chyba także takie same. Usiadła na swojem miejscu i ponownie wzięła książkę, ale już teraz czytanie jej nie szło. Krępowała ją trochę obecność młodego oficera i cieszyła się, że będzie miała towarzysza podróży. Co chwila ciekawie zerkała na niego. Jaki przystojny, myślała. Twarz energiczna, opalona, oczy koloru stali, włosy ciemne. Prawdziwie męska uroda. Wkrótce zauważyła, że oficer także przygląda się jej ciekawie. A on rzeczywiście przyglądał się z zainteresowaniem. Miała złociste o odcieniu rudawym włosy, rozsypane w kędziorach dokoła białej, lekko przeświecającej różem twarzyczki. Duże czarne oczy o słodkim, ale figlarnym wyrazie. Skromna, granatowa sukienka z białym kołnierzykiem uwydatniała jej zgrabną postać.

— Taka bardzo dziewczęca — pomyślał młody oficer.

— Czy pani pozwoli zapalić? — zwrócił się do niej ceremonjalnie.

— Proszę. Lubię dym z papierosa.

Skwapliwie podsunął jej papierośnicę. — A więc pani pali?

TRZY MATKI...

Zaskrzypiała żałośnie zardzawiała w zawiasach brama, przenikliwy, mroźny wiatr rzucił tumanem śnieżnych płatków w twarz kobiety, zasypując mokrym śniegiem zapłakane oczy, musnął ostrym podmuchem twarz młodą jeszcze, ale wymizerowaną, zwiędłą i przeoraną stygmatem cierpienia...

Majaczy we mgle wysoki mur, cmentarny szmat ziemi, miasto tych, co już odeszli... Kobieta z zapłakanemi oczami przystanęła, odwróciła głowę i spojrzenie tęskne przesycone bólem zwróciła raz jeszcze na żelazne kraty furtki..

I poszła dalej... Dokąd?... Poco?...

Dokąd udać się może wśród męki rozstania matka, stojąca przed chwilą nad mogiłą swego ukochanego, jedynego dziecka?

Czyż jest moc zdolna pocieszyć ją w rozpaczy, rwącej spazmem serce, moc, co ukoi gorycz, żal i przywróci nadzieję?...

Stąpała jak we śnie – doszła do miasta – tłum, tętno życia, a z nią bezdroża wspomnień — idzie sama, tylko myśli smutne opadły serce rojem męczących widziadeł.

— Tam — w półotwartych drzwiach kościoła jarzą się światła.

Wejdzie na chwilę — skołatane skronie wesprze na zimnych kolumnach, może jakaś moc spłynie w głąb zmęczonej duszy.

U progu świątyni skulona z chłodu, nędznie odziana żebraczka wyciąga dłoń posiniałą z zimna i szepce coś, prosi. Przyciska do piersi dziecko cicho płaczące, pewnie jedyną własność i ciężar jej doli — głodne i chore.

Osierocona matka nie patrzy na żebraczkę z dzieckiem, nie może. Wcisnąwszy do jej zziębniętej dłoni parę groszy, wchodzi do kościoła.

Gwiazda przejasna błyszczy nad strzechą szopy, gdzie spoczywa na sianie maleńka Dziecina.

— Nie, ale lubię, gdy inni palą. Czy to pana dziwi?

— Dziwić nie dziwi, różne są upodobania — odparł z uśmiechem. – Ja naprzykład pasjami lubię grać w serso. Zna pani chyba tę grę z lat dziecięcych? To musiało być tak niedawno.

Zarumieniła się leciuchno. — Czy ja naprawdę wyglądam tak smarkato? Wszyscy mi mówią, że mam lat osiemnaście, a ja już mam dwadzieścia trzy. Czemu pan się śmieje?

— Bo tak pani stara się mnie przekonać, a ja zupełnie nie wątpię, że pani ma lat dwadzieścia trzy. Mógłbym nawet powiedzieć że pani jest starsza.

— Eee, tylko pan tak mówi — nadąsała się ślicznie. – A ja nie mam ani mniej, ani więcej tylko dwadzieścia trzy. A wyglądam naprawdę na osiemnaście. — Dodała triumfująco.

— Z tego wynika, że ja również powinienem powiedzieć, ile mam lat, a na ile wyglądam, — odparł z uśmiechem. — Ale! – przypomniał sobie — wymaganiom towarzyskim nie stało się zadość. – Wstał i podszedł do niej. – Zygmunt Jastrzębski.

— Halszka Kownacka — podała mu rękę. Podobało jej się, że tak wyraźnie wymówił swoje nazwisko. Inni mężczyźni bąkną coś pod nosem i wiedz tu, jak się który nazywa.

— Panno Halszko, pozwoli pani tak do siebie mówić — dodał przymilnie.

— Teraz na mnie kolej powiedzieć, ile mam lat, a na ile wyglądam.

— Wygląda pan na trzydzieści — powiedziała figlarnie.

Pomyślała zaś — Dwadzieścia pięć.

— O! widzi pani, wyglądam starzej, bo mam dwadzieścia sześć.

— Na jednej zabawie w Krakowie poznałam prawnika Jastrzębskiego. Przetańczyliśmy niemal cały wieczór razem. Teraz widzę, że jest między nim a panem pewne podobieństwo.

— Jurek?

— Tak.

— To mój brat. No, no... jak to się ludzie spotykają. A pani co studjuje? — zainteresował się nagle.

— Nie studjuję wcale.

— Nie. Acha, już wiem! Studjuje pani jednak. Uczy się pani modnego dzisiaj flirtu. Uczy się pani zdobywać sobie chłopców. Uczy się pani wydawać pieniądze rodziców — Wyliczał złośliwie. Zmieszał się jednak, widząc wyraz przykrości na jej pobladłej twarzyczce Nie wiedział, co zrobić.

— Czy ja naprawdę wyglądam na taką... taką flirciarę? — powiedziała z żalem.

— Żeby pan wiedział — dodała żywo — że już od trzech lat pracuję na siebie.

Schyla się nad Nią z czułością Przeczysta Matka. Tłum pastuszków klęczy u wrót stajenki, złożone dłonie, usta zdaje się szepcą proste słowa pokory i miłości.

Tak cicho... Światła płonące biją blaskiem o strop świątyni. Modlitwa gorąca, serdeczna rwie się z serca samotnej kobiety — „Panienko Święta, patrzysz w oczy Syna swojego, miłości ogrom kładziesz na jego liche posłanie, a tam, nad gwiazdą betlejemską widzisz krzyż... I ty Matko Zbawiciela ciesząc się z narodzenia Słowa, płaczesz już teraz w tajni matczynej duszy nad Jego utratą, jak szlocham ja, samotna dziś i opuszczona".

Łkanie podniosło pierś rozmodlonej kobiety, a cisza poddania i pokój ogarnął zmęczoną duszę.

Drżały promyki świateł, pustoszała świątynia, na ulicy zapadał zmrok... Obok kobiety w żałobie ktoś westchnął głęboko — to trzecia matka — żebraczka z półnagiem dzieckiem — składała u stopni ołtarza ubożuchną ofiarę — dwie świece... Długo klęczały wpatrzone w Świętą Dziecinę dwie smutne matki powierzając krzyże swoje przeczystemu Sercu Tej trzeciej, cierpiącej jak one, idące w życie ciernistą drogą macierzystej miłości.

Stefan Krasiński.

PIERWSZA LEKCJA CHARIKLESA

Mały Charikles był tego dnia w najgorszym humorze. Już z samego rana spotkała go niemiła niespodzianka. Gdy wychodził, jak zwykle, z domu pod opieką starego Lykona, ojciec rzekł do pedagogosa — Lykonie, Charikles będzie od dzisiaj rozpoczynał ćwiczenia w palestrze później, niż dotychczas. Masz go teraz zaprowadzić do szkoły.

Chłopcu zakręciły się w oczach łzy. Palestra była dla siedmioletniego malca rajem, o którym śnił co noc. Od kilku miesięcy, odkąd uczęszczał na to niewielkie boisko, otoczone białemi kolumnami, stał się wśród

---

Jestem nauczycielką, mam posadę niedaleko Krakowa. A na zabawy to wcale tak często nie chodzę. Z początkiem karnawału byłam tylko na balu prawników, gdzie poznałam pana brata, a teraz jadę do Rzeszowa na ślub kuzynki. I już w tym karnawale więcej na zabawie nie będę.

— Niech pani wybaczy złośliwemu człowiekowi, To moja wada, ale trzeba być wyrozumiałą na wady bliźnich. Nie przebaczy mi pani? Czy mam klęknąć tu na środku przedziału i błagać, żeby się pani ulitowała?

Patrzyła na niego rozbawiona i trochę przerażona, bo wstał, jakby naprawdę chciał to zrobić.

— Proszę bileciki.

Halszka zadowolona była z przyjścia konduktora. Uwolnił ją od odpowiedzi. No i naprawdę nie wiadomo, czy oficer nie ukląkłby przed nią na podłodze.

Podali bilety. Konduktor sprawdził i wyszedł.

— Panno Halszko, wybaczy mi pani, prawda?

— Pan znowu swoje, przecież ja się nie gniewam, — powiedziała trochę zniecierpliwiona.

— Myślałem... przepraszam, — było mu nieprzyjemnie, już drugi raz był niezręczny.

— Pan daleko jedzie?

— Do Tarnowa, na ostatki. Dostałem parę dni urlopu, spędzę je w domu. Moi rodzice mieszkają w Tarnowie. A pani? Gdzie pani rodzina przebywa?

— Mam tylko matkę, ojciec umarł przed trzema laty. Matka ze mną mieszkała na wsi. Z rodzeństwa mam tylko młodszego brata. Jest na stancji w Krakowie, w tym roku zdaje maturę.

— A ja mam liczne rodzeństwo. Brat Jurek, którego pani poznała. Dwie siostry zamężne w Tarnowie, Zosia i Jula. Władek pracuje w banku w Warszawie. Oprócz tego jeszcze dwoje małych, no, już nie bardzo małych, Edek w siódmej gimnazjalnej, Janka w piątej. Jak czasem zjedzie się nas cała paka w domu, to dopiero wesoło. Najrozmaitsze kawały robimy.

— Przyjemnie, gdy się tak dużo młodzieży zjedzie. Dawniej często ferje i wakacje spędzałam u krewnych w Rzeszowie. — Westchnęła. — Teraz już nigdy nie jest mi tak wesoło jak wtedy.

— Nie chce mi się w to wierzyć. Patrząc na panią, sądziłbym, że pani oddycha tylko atmosferą radości. Bo pani to przecież uosobienie radości. Taka... wiochna! — głos mu zadrgał dziwnie.

Odwróciła do okna zarumienioną twarzyczkę. Dlaczego jej serce tak bije? Pociąg mknął szybko, nie zatrzymując się na mniejszych stacjach. Na polach grubą warstwą leżał śnieg. Świeżo upadł przed paru dniami. Taki lekki, puszysty śnieg.

rówieśników najbardziej zapalonym gimnastykiem. W biegu i skokach nie miał równego, a piłką władał wprost po mistrzowsku. Nikt nie umiał jej tak wysoko, jak on, cisnąć w przestworza nikt tak pewną ręką nie chwytał jej, gdy spadała zgóry. Ale Chariklesowi wszystko to było mało. Z zazdrością patrzał na starszych chłopców, jak imali się już dyska, a nawet stawali do walki wręcz. Marzył o zwycięstwie w pięcioboju, śnił o laurze olimpijskim...

Dzisiaj właśnie kierownik ćwiczeń miał pokazać chłopcom nową, trudniejszą już, grę w piłkę. Aż tu nagle rozkaz ojca odsunął rozkosze palestry o parę długich godzin.

Łagodne dotknięcie Lykona wyrwało Chariklesa z jego niewesołych rozmyślań. Posłusznie podał rękę opiekunowi i wyszli z domu.

Nic go dzisiaj nie cieszyło. Ani poranny gwar ulicy ateńskiej, ani grot włóczni posągu Pallady, zdala w rannem słońcu błyszczący ze zbocza Akropolu. Chłopiec szedł ze spuszczoną głową i przetrawiał swoje zmartwienie.

Nagle spojrzał bystro na niewielki kijek, który zawsze lubił nosić ze sobą. Było tam kilka karbów. Prawda, wyciął je sobie wczoraj z wieczora, by nie zapomnieć, że ma się o coś zapytać kierownika palestry. Ale o co? W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał tylko, że chodziło o coś bardzo ważnego, o jakąś grę sportową... Co to było takiego?... Ach ten nieznośny brak pamięci! Nie, Charikles miał dziś stanowczo pechowy dzień...

* * *

W sali szkolnej, wsparty o posąg Muzy, stał mężczyzna dobrze już szpakowaty i z dobrotliwym uśmiechem przypatrywał się napływającym chłopcom. Był to nauczyciel, *grammatistes*. Niejedno już pokolenie młodych Ateńczyków wyuczył sztuki czytania, pisania i rachowania — a oto przybywa mu nowa gromadka, której chłopięcemi umysłami trzeba się zająć gorliwie, bo z tych malców wyrosną może na chwałę Aten mężowie stanu, wodzowie, poeci...

Zebrali się już wszyscy. Jedni rozglądali się po sali z zakłopotaniem, inni wpatrywali się w twarz nauczyciela, zaciekawieni,

---

— Och! pojechać teraz saniami przez pola i lasy. Janczary dzwonią, a człowiek upaja się jazdą, pędem i...

— I czem? i czem? — zaglądał jej w oczy. — Tak jechać jak Kmicic i Oleńka. Prawda? Pamięta pani? Upoić się miłością. To pani chciała powiedzieć.

— Nie wiem, panie Zygmuncie. — Wymówiła po raz pierwszy jego imię. Spostrzegła to i zarumieniła się. — Może to, a może nie to. Ogromnie lubię szybką jazdę saniami. Czuję wtedy w sobie jakąś siłę, radość przemożną, oddycham pełną piersią, czuję, że żyję. Ale wtedy budzi się we mnie tęsknota, żeby... zawahała się.

— Żeby... — podchwycił Jastrzębski.

— Żeby dzielić z kimś tę radość, to szczęście istnienia.

— A widzi pani, tęsknota za miłością. Pragnienie, żeby się nią właśnie upoić.

— Nie — potrząsnęła energicznie głową. — Może się pan będzie ze mnie śmiał, ale ja nie jestem zupełnie nowoczesna. Tkwi we mnie jeszcze spuścizna po prababkach. Miłość — to dla mnie nietylko upojenie, to uczucie wiążące na całe życie, to obowiązek, to praca dla tej ukochanej osoby. Nie wiem, jak to powiedzieć. Miłość dla mnie to... to zupełna harmonja, zrozumienie, poznanie się wzajemne, wspólna praca, wspólne zwalczanie trudności życiowych.

Z coraz większem zaciekawieniem słuchał. Z wyglądu takie sobie urocze dziewczątko, a myśli jak człowiek zupełnie dojrzały. Pod wpływem impulsu podszedł do niej i bardzo poważnie ucałował obie ręce. Zaskoczyło ją to, chciała się gniewać, ale nie wyczuła w tem nic dla siebie ubliżającego. Przeciwnie — Spostrzegł jej niepewność.

— Dziękuję pani za to, że się pani taka uchowała.

A ona znów była dzieckiem. Zadźwięczał jej śmiech, jak gdyby ktoś szklane paciorki rozsypał.

— I pani z takiemi zapatrywaniami na miłość pewnie pokochała raz na całe życie. A może nieszczęśliwie? — pytał z dziwnym niepokojem.

— Nie — potrząsnęła głową — nie kochałam jeszcze nigdy — powiedziała jakby z żalem. Pociąg zwalniał biegu.

— Tarnów, Tarnów — krzyczeli konduktorzy. Jastrzębski zerwał się zaskoczony. Przypasał szablę, nałożył płaszcz, uścisnął mocno rękę panny. Oboje wypowiedzieli kilka szablonowych, towarzyskich grzeczności. Potem oficer porwał walizkę i śpiesznie wysiadł z wagonu. Czekali na niego rodzice na stacji. Halszka została sama, pociąg znów pędził do celu. Zaczęła rozmyślać o niedawnym towarzyszu podróży. Czy też go kiedy jeszcze zobaczy? Zabrała się do czytania książki, ale niewiele rozumiała. Wysiadając w Rzeszowie, nie schowała jej do walizki, wzięła ją tylko tak ze sobą.

co od niego usłyszą. Ale uwagę *grammatistesa* zwrócił jasnowłosy chłopiec o śmiałem, ale zasmuconem spojrzeniu.

— Jak się nazywasz? — zapytał ująwszy go łagodnie pod brodę.

— Charikles, syn Ifikratesa — odpowiedział zagadnięty.

— A czemuś to smutny, Chariklesie? Chłopiec już otwierał usta, by podać oba powody swego zmartwienia, gdy nagle zastanowił się. Może nie wypada — pomyślał — powiedzieć nauczycielowi, że to pójście do jego szkoły tak mu popsuło humor. Ograniczył się więc do drugiej przyczyny:

— Zakarbowałem sobie tu coś dla pamięci — rzekł, wskazując na kijek — i zapomniałem, co to było takiego.

Grammatistes uśmiechnął się:

— Jeżeli będziesz pilnie uczęszczał do szkoły i dobrze się uczył, nie będziesz potrzebował używać kijka i karbowania, bo ja cię nauczę lepszego sposobu, by zapamiętać to, czego nie chcesz zapomnieć.

Charikles bystro spojrzał na nauczyciela, a ten tak mówił dalej do otaczających go zwartą gromadką uczniów:

— Owym cudownym środkiem, który pozwoli każdemu z was notować swe myśli, jest pismo. Według naszej legendy helleńskiej wynalazcą tej pięknej sztuki był królewicz fenicki Kadmos, syn Agenora, ten sam, co założył Teby. Mądra to legenda i głęboka mieści się w niej prawda. Kiedy wiele lat temu w moich podróżach zawadziłem o Fenicję, przekonałem się, że nasz grecki alfabet, którego mam was nauczyć, bardzo jest podobny do tamtejszego. Bo spójrzcie tylko... ale zaraz, gdzie to moja tabliczka, aha — jest...

Tu *grammatistes* wydobył z fałd swej szaty niewielką tabliczkę drewnianą, powleczoną lśniącą warstwą wosku, przyklęknął na jedno kolano, na drugiem oparł tabliczkę i ujął w prawą rękę mały cienki rylec.

Widzicie — mówił do rozciekawionych chłopców — takie tabliczki i takie rylce i wy dostaniecie do nauki. Ale o czem to ja zacząłem?... aha... Otóż zauważyłem, że fenickie litery silnie przypominają nasze. Popatrzcie:

Kuzyni przyjęli ją serdecznie. Jadźka, panna młoda ucieszyła się bardzo. — Poczciwa, kochana Halszka, nie zapomniała, że ma być drużką na mojem weselu. — Całowała ją serdecznie. Musisz mi pokazać swoją sukienkę.

— Jak się dwie panny zejdą, to odrazu o sukniach i fatałaszkach — gderał ojciec Jadźki. — Dałabyś Halszce spokój, ledwo przyjechała, głodna być musi. Mama przygotowała nam obiad. Chodźcie! Po obiedzie jednak panny nie wytrzymały. Halszka oglądnęła śliczną, ślubną suknię Jadźki, welon, buciki.

— A teraz, drużko, pokaż mi swoją suknię.

Halszka przyklękła przy walizce na ziemi i włożyła kluczyk w zamek. Trochę się wprawdzie kluczyk zacinał, jednak walizę otwarła i podniosła wieko.

— O! Boże! co to? — wykrzyknęła zdumiona. Przybiegła Jadźka. Na wierzchu leżał porządnie złożony paradny mundur oficerski.

— Halszka!

— Wiesz, jechałam z jednym oficerem, mieliśmy jednakowe walizki, no i . .. Obie wybuchły głośnym, serdecznym śmiechem. Jadźka aż przysiadała na ziemi, a łzy jej ciekły po twarzy.

— Och nie mogę, nie mogę! Też przygoda! Pomyśl sobie, jaką będzie miał minę, gdy otworzy swoją walizkę. Nie ..naprawdę.. umrzeć można ze śmiechu. Pomyśl sobie, co to będzie, jak otworzy walizkę.

— Dziewczynki, co tu się dzieje – pytała matka Jadźki. Nie odpowiedziały odrazu, śmiały się tylko, śmiały bez opamiętania.

— Mamo, bo Halszka ma zamiar na mój ślub ubrać się w paradny mundur oficerski. O popatrz!

— Halszko, dziewczynki, co to wszystko znaczy? – pytała zdumiona matka.

Gdy się trochę uspokoiły, ksztusząc się jeszcze od śmiechu, opowiedziały wszystko.

— Wiesz dziecko, że to dobry znak — pogładziła ją po złotej główce.

— Ja się śmieję, ale jaką ja suknię jutro włożę?

Ślub miał być nazajutrz w niedzielę. To też zafrasowały się trzy kobiety. Rada się jednak znajdzie, poprostu Halszka weźmie jedną suknię Jadźki.

Tymczasem o ósmej wieczór zjawił się Zygmunt Jastrzębski. Rzeszów nie duży, znał nazwisko Halszki, jakoś się dopytał.

— Odwożę pani walizkę.

— Panie Zygmuncie, jak to dobrze. — Ucieszyła się Halszka niewiadomo, czy walizą, czy jego osobą

greckie »alpha« (tu nakreślił na tabliczce znak A) podobne jest do fenickiego »alef« (V), »alef« to znaczy po fenicku »głowa wołu«, nakształt której powstała właśnie ta litera. Albo: nasze »beta« (B, które wyglądało dawniej ꓭ) przypomina fenickie »beth« (ᐱ), co się wykłada »dom«. Nasze »delta« (Δ) to ich »dalet« (Λ): »drzwi«. Greckie »ro« (P) odpowiada fenickiemu »resz« (4), oznaczającemu głowę ludzką. I tak dalej.

— Kiedy to podobieństwo spostrzegłem, — ciągnął nauczyciel — zwróciłem na nie uwagę poznanemu przypadkowo Fenicjaninowi, który był człowiekiem wyjątkowo wykształconym (bo oni tam naogół wolą zajmować się handlem, niż nauką). Fenicjanin uśmiechnął się z wyraźnym odcieniem wyższości i rzekł:

— Niczego nowego nie odkrywasz, cudzoziemcze, a podobieństwo naszych alfabetów nie jest dziełem przypadku. W czasach, kiedy wy byliście jeszcze półdzikim ludem pasterzy i wojowników, u nas kwitła już cywilizacja. Znaliśmy pismo. I pismo to właśnie wy, Grecy, przejęliście od nas. Przecie nawet wasza legenda głosi, że wynalazcą waszego pisma był królewicz fenicki. A owe »złowrogie znaki« z wyrokiem śmierci, dane przez króla Projtosa Bellerofontowi, o których opowiada wasz Homer w »Iljadzie« [1]), to pewnie nic innego, tylko nasze fenickie pismo.

— Oczytanie tego Fenicjanina wprawiło mnie w osłupienie. Spojrzałem na niego z podziwem, ale pomyślawszy chwilę, odparłem:

— Doceniam przysługę kulturalną, jakąście nam oddali. Ale czy przypadkiem i wy, Fenicjanie, nie nauczyliście się pisma od jakiegoś innego narodu?

Fenicjanin uśmiechnął się:

— Oho, widzę, że opinja przebiegłych, jaką Grecy mają na całym świecie, jest aż nadto uzasadniona. Istotnie, pisma nauczyliśmy się od Egipcjan.

Ignacy Wieniewski.

(*Utwór ten, przeznaczony do czytanek Balickiego i Maykowskiego, jest własnością Zakładu Narodowego im. Ossolińskich*).

Dok. nast.

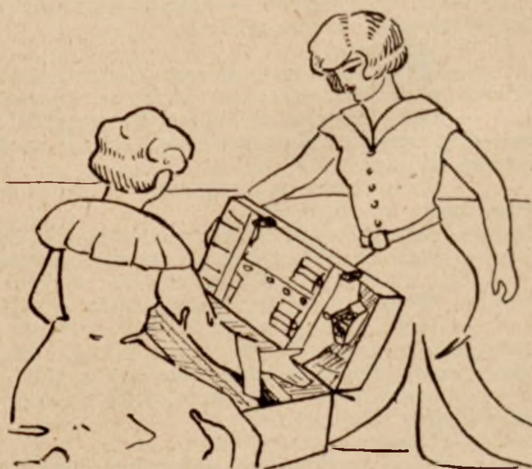
[1]) W księdze VI, wiersze 168 - 9.



Przy kolacji dużo było śmiechu, gdy Zygmunt opowiedział, jak to się zabrał do rozpakowania swojej walizki. Zdziwienie rodziców i rodzeństwa, gdy wyjął białą sukienkę. Młody oficer zyskał sobie sympatję wszystkich domowników. Okazało się, że był szkolnym kolegą narzeczonego Jadźki. Zatrzymano go na noc. Nazajutrz był nawet na ślubie. Byłby może i dłużej pozostał, bo go ciągnęły czarne oczy Halszki, musiał jednak wracać do rodziny.

— Błogosławię przypadek z zamianą walizek. Gdyby nie to, nie widzielibyśmy się już więcej. A tak... — Wzruszony pocałował ją w rękę.

Zanim minął rok od tego zdarzenia, w Tarnowie odbył się ślub Halszki i Zygmunta.



STEFAN BUSZCZYŃSKI

...W wędrówce samotnej, gdziem tylko stąpił, nie szczędziłem trudu, ni ziarn do siewu, ni służby ochotnej...
St. Buszczyński „Duch Światła“.

Nazwisko Stefana Buszczyńskiego poszło w niepamięć, warto jednak zapoznać się z tą postacią, o której Kraszewski twierdził, że każde jego słowo oddycha Polską, Polsce służy i Polskę przywraca.

Urodził się Buszczyński 26 grudnia 1821 r. w Małodkowcach, na pograniczu Wołynia i Podola.

Z domu rodzinnego wyniósł oprócz starannego wychowania, płomienną miłość Ojczyzny, która mu była drogowskazem przez całe życie.

Wybitnie zdolny i pracowity ukończył chlubnie gimnazjum w Winnicy, wyższe zaś studja na Uniwersytecie Kijowskim. Ulubionym jego przedmiotem była historja. W roku 1846 ożenił się Buszczyński i zamieszkał na wsi pod Mohylowem.

W chwilach wolnych od zajęć gospodarskich pisywał bezimiennie do czasopism i nazywał pracę dziennikarską »służbą narodową«.

Równocześnie studjował historję. Prawdy wysnute z badań dziejowych miały służyć Buszczyńskiemu »jako broń skuteczna przeciw wrogom, którzy fałszom historycznym w opinji świata całego torując drogę, na nich i na gwałtach bezprawne owe panowanie budują«.

Pierwszym jego protestem w tym duchu było dziełko p. t. »Polska, Wołyń i Ukraina«, drukowane we Lwowie. Zbija w niem młody historyk naukowo i wyczerpująco bezprawne pretensje Rosji do prowincyj polskich.

Dla lepszego zapoznania zagranicy z prawdą dziejową, udał się do Paryża i wydał tam po francusku swą pracę.

Był to czas wzmożonego życia narodowego, czas pamiętnych manifestacyj warszawskich. Z dnia na dzień rosła nadzieja odzyskania niepodległości. Emigrację polską w Paryżu trawiła gorączka czynu. Stefan Buszczyński żył w duchowej rozterce. Wiedział, że tylko zbrojna walka z wrogiem zdoła położyć kres prześladowaniom, lecz znając ówczesny nastrój w Ojczyźnie, zrozumiał, że chwila jest przedwczesna, że zwłaszcza lud nie jest w tym duchu uświadomiony.

Pragnąc tedy zapobiec bezskutecznemu rozlewowi krwi, wydał z końcem 1862 r. broszurkę ostrzegawczą: »Cierpliwość czy rewolucja?« i porozrzucał ją po całym kraju. Zapóźno! Już padły pierwsze strzały. Bój zawrzał.

Buszczyński uchylił teraz czoła przed wolą narodu.

Na wezwanie Rządu Narodowego zorganizował oddziały powstańcze z trzech powiatów Podola i Ukrainy.

Znając dobrze Moskali, umiał zmylić ich czujność i ustrzec powstańców przed wpadnięciem w ręce wroga. Po kilku miesiącach, gdy powstanie poczęło gasnąć, uregulowawszy sprawy majątkowe wyjechał z chorą żoną do Szwajcarji.

W kilka tygodni po wyjeździe pierwszym dekretem zaocznie został skazany przez Moskali na śmierć, drugim — na 20 lat ciężkich robót i dożywotnie osiedlenie na Syberji. Odtąd tułał się po Szwajcarji, Francji, Saksonji. Rozpacz po śmierci żony i ból spowodowany upadkiem powstania łagodził pracą pisarską, oddając się jej nieraz po 16-ie godzin na dobę.

W roku 1867 wyszło w Paryżu anonimowe wielkie dzieło Buszczyńskiego »Upadek Europy«, w którem przepowiedział upadek Napoleona III. Książka ta zwróciła uwagę świata naukowego. Pisali o niej wybitni krytycy francuscy, szweccy, niemieccy, amerykańscy. Buszczyński za pośrednictwem księżnej Gedroyć posłał ją cesarzowi.

Napoleon przeczytał pracę, pozaznaczał ważniejsze ustępy i wskazując na nie jednej z dam dworu rzekł: »C'est triste, mais c'est vrai«.

W Polsce natomiast dłuższy czas nie znano ani nazwiska ani narodowości autora »Upadku Europy«. Gdy tajemnicę odkryto, rodacy zasypali Buszczyńskiego listami pełnemi uznania i zachwytu. Akademja Umiejętności w Krakowie zamianowała go swym członkiem.

Z pod pióra niestrudzonego historyka wyszły jeszcze inne prace m. in. »Ameryka

i Polska«, »Le Catechisme social«, »Wunden Europa«.

Ostatnie dzieło zjednało Buszczyńskiemu wielki rozgłos, zwłaszcza w niemieckich sferach naukowych.

Buszczyńskiemu zawdzięczamy także hymn »Do pracy« z muzyką Kaczkowskiego. Ale ruchliwy uczony nie poprzestał na pracy pisarskiej, zapragnął siły swe poświęcić młodzieży Polskiej. Rozpoczął tedy w 1870 roku staranie o uzyskanie katedry historji powszechnej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednak, z powodu polityki ugodowej niektórych czynników, nie dostał katedry na uniwersytecie polskim.

Zawód ten podciął Buszczyńskiego duchowo. Zamierzał porzucić pióro i usunąć się z widowni publiczno-naukowej. Jednak głos obowiązku zwyciężył, w r. 1882 wydaje we Lwowie »Przestrogę historji«, dając w niej obraz prześladowań, jakich się rząd rosyjski dopuszczał na narodzie polskim.

Tegoż roku zaczął drukować w poznańskiej »Warcie« dzieło pod tytułem: »Znaczenie dziejów Polski i walk o niepodległość.«

Praca ta była pierwszym protestem naszego historyka przeciw t. zw. »Historycznej szkole krakowskiej«. Pisarze należący do niej zaczęli stawiać wówczas dla celów stronniczych przeszłość Polski pod pręgierz bezwzględnej, często niesłusznej krytyki. Nie zawahali się wrogom na pociechę szarpać honoru i godności Ojczyzny przed własnem społeczeństwem, a nawet w oczach całego świata.

Kierunkowi temu wypowiedział Buszczyński ostrą walkę, stanął do niej z otwartą przyłbicą. Nieraz zbolały mawiał: »niedość, że mamy zewnętrznych nieprzyjaciół, jeszcze walczyć musimy z domowymi wrogami... Czy może być okropniejsze położenie? Czy był, czy jest gdzie naród równie nieszczęśliwy?«

Nie przeciwdziałać temu prądowi było w pojęciu Buszczyńskiego wspólnictwem w zbrodni gaszenia ducha narodowego.

Wynikiem polemiki trwającej lat 10 było dzieło p. t. »Obrona spotwarzonego narodu«. I dziwna rzecz, ani ta książka, ani mnóstwo drobniejszych pokrewnych artykułów Buszczyńskiego nie wywołały żadnej reakcji ze strony atakowanych. Natomiast żywy odruch wdzięczności i uznania całego narodu był nagrodą i ostatnią radością gasnącego już życia wielkiego Polaka. Dnia 20 października 1892 r. obiegła Polskę wieść żałobna, że umarł w Krakowie ze słowem »Ojczyzna« na ustach Stefan Buszczyński, jeden z najlepszych Jej synów, który do końca wytrwał w niezmordowanej służbie dla Niej, który mógł słusznie o sobie powiedzieć w testamencie literackim: »Boga biorę na świadectwo i sumiennie wyznaję, że mając od rodziców wszczepioną miłość Ojczyzny i nakaz poświęcenia dla Niej pracy całego życia, a w razie potrzeby życia nawet, zajęty byłem od dziecinnych lat prawie nieustannie myślą przyniesienia korzyści narodowi mojemu«. *Wisława.*

Naprzód Marsz!

Tak oni szli, ginęli,
A kości ich Ty, Matko Ziemio, znasz!
Ich ramion moc
Jako spuściznę dzielisz,
Ich ducha stawiasz na pograniczną straż!
Tam stań i czuwaj!
A ja?

Ty naprzód marsz!
Bez słowa marsz, tutaj zbyteczny gwar,
I wolę miej jako napięty łuk.
Ku słońcu start!
Rozumiesz plan twych dróg?
Tu zaczynają się, u myśli widnokręgu,
A idą w nieskończoność — — potęgą...

Bez zwłoki marsz!
Tu każdej chwili szkoda,
Tak krótko trwasz,
Życie jest tylko jedno.
Szczęśliw kto siebie
Temu, co wielkie, odda...
Więc naprzód, marsz!!! *Żwir.*

WYSTAWA
W ZACHĘCIE
SZTUK PIĘKNYCH
W WARSZAWIE.



Niedziela w Warszawie skierowuje żądnych piękna do Zachęty. Sale przepełnione płótnami i... zwiedzającymi. Fachowe, dyletanckie, konserwatywne i „dzisiejsze"... słowa krytyki krzyżują się — choć wymawiane są z subtelnej delikatności półgłosem, szeptem...



Dużo płócien ładnych, dobrych, barwnych, ale mało siły i wyrazu określającego epokę dzisiejszą. Tego w Zachęcie darmo szukamy, bo i nie znajdziemy. — W I. P. S-ie przed miesiącem, była wystawa Międzynarodowej Plastyki Kobiecej — tam tętno nowoczesności było w pełni oddane, zadawalniając dzisiejszy zmysł artystyczny.

Tu bardzo dużo ładnych płócien, które są wolne od jednego — od marki przesady nowoczesnej. Brak nam jednak siły — rozmachu i tego „czegoś" co przykuwa i imponuje tak w koncepcji, jak i w wykonaniu.

Ale przejdźmy do krytyki dość licznie przedstawionej twórczości rodu Kossaków. Wszak nasze pismo w numerze listopadowym zapowiedziało tę wystawę, a więc konsekwentnie teraz wypowiedzieć się trzeba.

Duże płótno na bocznej ścianie, w odpowiedniem oświetleniu, a niebieskiej tonacji, oto co zdaleka widzimy. Jest to „Święto Kawalerji w Krakowie 1933 r." Wojciecha Kossaka. Tło obrazu — widok kopca Kościuszki — w perspektywie trybuna i drobna postać w fioletach Księcia Metropolity Sapiehy obok białej głowy Pana Prezydenta, bliżej widza trybuna Marszałka J. Piłsudskiego przyjmującego defiladę wojskową — tuż na koniu pełnej rasy — gen. prowadzący defiladę. Na pierwszym planie orkiestra galopująca na białych koniach, w barwnych strojach zdaje się Strzelców Podhalańskich. — Konie... to ukochanie W. Kossaka. Takich koni w codziennem życiu nie widzimy, stąd są one dla zwyczajnego widza niezrozumiałe. On ogląda konia zaprzężonego w dorożkę, czasem pod siodłem w munsztuku, tkniętego ostrogą, w sztucznej przez ludzi wymanierowanej pozie. Ale kto oglądał konia na wolności — konia na stepach ukraińskich w stadzie, kto wczuł się w tętno nerwów czystej krwi araba, podnieconego muzyką wojskową — ten zrozumie i oceni konia unoszącego orkiestrę na nowym efektownym płótnie Wojciecha Kossaka. Tu odżywa batalistyczna zdolność naszego Malarza. Ale ten i ów deletant odchodząc powie to banalne słowo: „zmanierowany!!!" Poza tym obrazem kilka ładnych główek końskich, przykuwających wzrok amatora szlachetnego zwierzęcia — konia, jak piękno przyrody przykuwa przyrodnika, dźwięk — muzyka, artystę — piękno kobiecej twarzy i sylwetki.

Niemniej bardzo dobre robi wrażenie nadzwyczaj silne w swej barwie i żywotności upozowania jak i tematu „Odczytanie rozkazu 6 sierpnia 1914 r.“ Twórca Legjonów odczytuje rozkaz. Jego młoda jeszcze twarz pełna wyrazu i siły — oto dzieło Jerzego Kossaka znanego już malarza legjonowego.

Niestety, Salon Zachęty nie dał nam do oglądania „Szarży pod Rokitną”, dzieła również Woj. Kossaka. Niech zatem czytelnicy nasi zapoznają się z tem przedostatniem większem płótnem W. Kossaka choć z reprodukcji łaskawie nam przez Malarza przysłanej, za co Redakcja składa na tem miejscu serdeczne podziękowanie Artyście.

Nie wchodząc w szczegóły dalszej krytyki płócien, gdyż na to skromne łamy pisma nie pozwalają — wychodzimy z Zachęty podniesione na duchu.

Nikt nie zaprzeczy, że piękno nietylko w przyrodzie, ale i w sztuce ma wielkie zadanie uszlachetniania człowieka nawet przyziemnego. Dlatego każdy kulturalny człowiek na wystawy sztuk pięknych chodzić koniecznie powinien.

Redaktorka.

Człowiek

Często jeżdżę tramwajem
tą samą drogą.
Za szybą przesuwają się rzędy kamienic
Z jednej i drugiej strony.
Za szybą porusza się bezimienny tłum.
Co ja wiem o was, ludzie?
W tramwaju także tłum.
Ten wsiada, ów wysiada.
Twarze stare i młode.
Wiośniane i poszarzałe,
Twarze tragiczne i śmieszne —
jak nasze życie.
Co ja wiem o was?
— A jednak wiem
Tak jak ja żyjesz, tłumie.
Jak ja umiesz się cieszyć,
jak ja smucić i umierać z rozpaczy.
Czuję falowanie twoich uczuć
poprzez jasne melodje śmiechu i wesela
aż do niskich i chrypliwych tonów nienawiści.
Umiesz kochać i umiesz także nienawidzić.
W twojej piersi kłębi się sto uczuć,
W twoim mózgu wiruje sto myśli.
Dobro miesza się ze złem,
walczy raz wgórze, raz nadole.
Istna karuzela!
Możesz być aniołem i możesz być wcieleniem
[szatana.
— A imię twoje i moje — Człowiek.

Kocham życie

p. Helence J.

Życie ma czar swój nieprzeparty,
choć ciężkie nieraz jest i smutne,
choć czasem łamie i zabija.
— Kocham upojną radość wiosny młodej
w nabrzmiałych pąkach drzew.
Kocham gorącość dojrzałego lata,
złocistość wczesnej jesieni
i spadających liści szept.
Kocham upiorne zawodzenie wichru
i burzy krwawe szaleństwo.
Lecz przedewszystkiem kocham życie.
— Życie upaja wonią rozwiniętych kwiatów,
krąży wartko żarem rozbudzonych chceń,
wichrem i burzą smaga duszę aż do bólu,
obala i podnosi, przytłacza i darzy nadzieją.
— Zewrzeć się z tobą trzeba, życie,
w walce bezustannej o niewiadomym wyniku,
natężyć wszystkie siły, by wydrzeć część twych
[wartości,
wchłonąć je, przetrawić i wrócić w nowej
[postaci.
Lecz przedewszystkiem ukochać ciebie trzeba,
[życie.

JADWIGA BILWIN.

Jutro

dział samodzielnie przez młodzież redagowany

GIMNAZJUM 643, LWÓW.

I. JAK POWSTAŁ NASZ SAMORZĄD?

Jest pauza. Stoję na wzgórzu w naszym ogrodzie szkolnym. Niebo jest błękitne a powietrze bardzo czyste. Wiatr jest także błękitny i mocno uderza w twarz.

Wciągam powietrze. Zdaje mi się, że pod wpływem tego wielkiego łyku pędu i świeżości staję się sprężysta. Lubię wiatr. Owiewa mi twarz i burzy włosy. Pachnie. Patrzę na zegarek. Jeszcze dziesięć minut. Obiegnę naokoło wielki klomb ze słonecznikami, i wrócę aleją do klasy.

Nagle ktoś uderza mnie w ramię. — Mam iść do Matki Przełożonej?

Poco?

Pędzę nadół, do szkoły. Trochę mi żal tego wiatru i błękitu. Lecę po dwa schody naraz, i myślę krótkiemi zdaniami: Poco — Matka — mnie — wzywa?.. Robię rachunek szkolnego sumienia: łacina, śpiew kościelny?

Czerwone, pluszowe fotele. Uroczysty zapach, jakby urzędowych aktów i zleżałych świadectw. Ukłon.

Patrzę na Matkę Przełożoną, i próbuję domyśleć się w jakim celu zostałam wezwana.

Czy słyszałam coś o samorządach szkolnych — pyta mnie Matka — i jakby mi się podobał projekt stworzenia samorządu w naszej szkole?

Samorząd szkolny? W krótkiej minucie przypominam sobie, że wczoraj od kogoś słyszałam o samorządzie. Już wiem. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o podobnych organizacjach. Siedzieliśmy we trójkę, mój kuzyn, mój brat i ja. Opowiadaliśmy sobie różne »kawały« szkolne, i tak jakoś zeszło na samorządy. Chłopcy uważali, że taki samorząd, to śmieszna szopka. Są nudne zebrania i dużo gadaniny, ale wszystko idzie tak, jak dawniej. Odnoszą się do niego jak do czegoś narzuconego, a więc chłodno i raczej krytycznie.

A potem poszliśmy do ogrodu, i zapomnieliśmy o naszej rozmowie.

Myślę o niej, ale mnie się ogromnie podoba myśl stworzenia samorządu w naszej szkole. Zdaje mi się, że zwłaszcza obecnie, gdy od obywateli wymaga się aktywności, zajmowania się sprawami narodu i poczucia odpowiedzialności jednostki za całość, szkoła przygotowująca nas do życia w społeczeństwie musi uwzględnić i rozbudzić instynkty organizacyjne i społeczne, drzemiące w młodzieży. Zdaje mi się również, że samorząd jest najodpowiedniejszą formą przygotowania do tego życia, do którego przygotowuje nas szkoła.

Jestem pełna zapału, i wierzę, że samorząd nasz nie będzie papierowy. Jest potrzebny. Jest wyrazem obecnie panującego prądu, mającego na celu rozbudzanie w młodzieży aktywności, i przygotowanie jej do przyszłych obowiązków obywatelskich. Ma podstawy bytu, i napewno będzie działał doskonale.

— — — — — — — — —

Samorząd już powstał i zaczyna działać. Statut jest ułożony przynajmniej w głównych zarysach. Ja osobiście nie cierpię sta-

tutów i paragrafów, mam ich dosyć na historji.

Statut jednak naszego samorządu jest żywy. Jest doskonałą fotografją tego obrazu, pełnego ruchu i barw, jakiem jest nasze życie szkolne. Fotografja nigdy nikomu nie da wrażeń podobnych do wywołanych przez barwy i światła oryginału, ale pozwoli przynajmniej przestudjować i przyswoić sobie główne jego zarysy.

Statut ten określa uprawnienia poszczególnej uczennicy i organizację samorządu. Główny nacisk położono na tem, że **każda** uczennica ma prawo podawać wnioski i projekty co do życia szkolnego.

Organizacja jest bardzo prosta: Rada młodzieży, jakby sejm złożony z przedstawicielek klas i organizacyj, jest organem uchwalającym; Prezydjum — władza wykonawcza.

— — — — — — — — —

Aula. Wszystkie lampy — nowoczesne sześciany z mlecznego szkła — zaświecone. Jasno i ciepło.

Sejmik. Właśnie przemawiam. Przede mną mnóstwo twarzy. Wszystkie są jakieś jednakowe. Jasne, w obramowaniu ciemnych przeważnie włosów. Dużo oczu.

Mówię o działalności naszego samorządu w pierwszem półroczu 1934 r.

Bo dzisiaj jest sejmik sprawozdawczy.

Wszystko idzie dobrze. Jest dużo roboty, ale to właśnie jest dowodem, że samorząd nasz żyje, i jest naprawdę wypadkową żądań i pragnień.

Prezydjum (władza wykonawcza) podzieliło się na wydziały. Obejmują one te dziedziny życia szkolnego, które dotychczas były właściwnie trochę zaniedbane.

Powstał wydział organizujący odczyty w szkole, następnie wydział kółek samopomocowych, zajmujący się uzyskaniem zniżek na przedstawienia teatralne i szkolne i t. p.

Następnie wydział sportowy, do którego należy organizowanie kolonij, albo wycieczek narciarskich, staranie się o zniżki do hal sportowych i t. d.

Jest wreszcie wydział imprezowy (tu jest dużo do roboty! Wszystkie obchody i akademje i przedstawienia, a te liczą się na dziesiątki!), wydział skarbu, zajmujący się wszystkiemi wkładkami na LOPP, Czerwony Krzyż i tyle innych, wydział karności wewnętrznej szkolnej, pilnujący ciszy po dzwonku, porządku w czasie akademji i obchodów, i t. d. Ta praca dała jednak dobre rezultaty. Naprawdę dobre. Świadczy o tem wykres umieszczony w korytarzu na tablicy ogłoszeń samorządu. Zaprzecza on słowom niedowiarków, którzy kubłami zimnych uwag gasili nasz zapał. — Niech pójdą popatrzeć!

Ostatnio powstał osobny wydział, redagujący artykuły do »Dziś i Jutra« i t. zw. »gazetę« szkolną. Jest to rodzaj ściennego biuletynu, redagowanego co dwa tygodnie przez inną klasę stają przed nim na każdej pauzie grupki uczennic, podziwiając nalepione na ogromne arkusze fotografje z całego świata. Ostatnio »gazetka« cieszyła się wielką popularnością, z powodu absorbującej wszystkich tualety ks. Mariny. Srebrna lama, welon, białe kwiaty. Ciche westchnienie i krótka myśl: »jakby mnie było w takim stroju i w takiej srebrnej sukni«.

Zaznaczyć jeszcze trzeba, że wszystkie zebrania są bardzo ożywione. Na wszystkich jest dyskusja.

Bardzo ciekawa była dyskusja nad wnioskiem kl. VIII, o stworzenie ligi kupujących w katolickich sklepach.

Ostatecznie stanęło na tem, że ligi jako ligi nie będzie, ze względu na to, że zadużoby było stowarzyszeń i lig. Ale samorząd ma przypominać o konieczności popierania sklepów polskich. Czy to przez afisze, czy przez ulotki, czy przez wystawienie w oszklonej gablotce w korytarzu reklam firm i sklepów polskich.

Wreszcie na sejmiku szmer zdumionej radości i zgodnego zachwytu na projekt Matki Przełożonej stworzenia sztandaru naszej szkoły. Projekt przyjęty bez dyskusji i jednogłośnie.

Samorząd więc działa. Realizuje się różne pomysły, i wprawdzie powoli, ale coraz lepiej idzie nam praca.

Nic mnie nie wzruszają różne niedowierzające uśmieszki i złośliwe uwagi à propos samorządu.

»Oj! taki babski samorząd, nie chciałbym znaleść się na zebraniu takim« — dokucza mi mój brat.

»Co wy robicie na tych waszych zebraniach? Pewnie się nudzicie... albo nawet nie, kłócicie się, przecież jesteście kobietami« — śmieje się kuzyn.

»Dzieńdobry drogiej Pani Przewodniczącej, jakże sprawy stoją«? poważnie wita się ze mną wuj.

A Ksiądz Profesor pyta, czy przyślemy — i w jakim składzie — delegację na konferencję nauczycielską przed świadectwami. Bo — mówi — jeszcze kuratorjum nie uwzględni naszej klasyfikacji bez waszej zgody...

Ale niech się śmieją. Zresztą, zdaje mi się, że, tak serjo biorąc, każdy musi przyznać, że samorząd szkolny jest dobrą instytucją.

Robimy jeszcze bardzo dużo błędów, często nie umiemy sobie dać rady, a jednak możemy być dumne, bo wszystko idzie dobrze. Zawdzięczamy to powodzenie w dużej mierze wskazówkom i współpracy wszystkich wychowawców.

Oddano nam szereg spraw szkolnych dotychczas leżących odłogiem, i nieco zaniedbanych. Wzięłyśmy się do pracy. Wniosłyśmy w nie inicjatywę i ruch. Chcemy zaprzeczyć słowom tych, którzy bezpodstawnie krytykują samorządy.

Zdajemy egzamin. I chcemy go zdać bardzo dobrze. *Przewodnicząca Samorządu Szkolnego. Janina Ihnatowicz kl. VIII.*

II. GWIAZDKA W NASZEJ SZKOLE.

Gwiazdka to największe święto dla nas uczennic. Największe w całym roku. Święto, służenia biedakom. Swięto, którego nam nikt zabrać nie może. Nie potrafi.

Przygotowania do Gwiazdki długo trwały. — Naprzód trzeba było zebrać rzeczy dla biednych, potem włożyć je do »tajemniczej« komórki, potem układać je w paczki dla wielu biednych rodzin.

Wśród tej pracy, dzień 15. XII zbliżał się szybko. Na pauzach można było usłyszeć takie słowa:

»Hanka, cieszysz się na gwiazdkę?«

»Pewnie! A ty?«

»Ee! ja będę przy umywalni«.

»A ja w hallu«.

»A ja będę gotować«.

»E! Co tu dużo mówić wszystkie cieszymy się. Prawda?«

A więc dziewczynki cieszą się naprawdę.—

Na 2 dni przed gwiazdką, każda, dowiedziała się, którą rodzinę ma wziąć pod swoją opiekę.

Na drugi dzień, zebrało się nas 6, i pod kierunkiem »doświadczonej« i energicznej starszej koleżanki, udałyśmy się do kuchni. Tu podzieliłyśmy się na 2 grupy. My, młodsze, stanęłyśmy przy jednym stole, te starsze przy drugim (naturalnie większym).

Starsze przygotowywały ciasto, a my krajałyśmy je na cienkie i wąskie paski (kluski).

W całej kuchni nastrój wesoły — czasem zbyt wesoły.

W tym też czasie, na I-em piętrze młodsze koleżanki ubierały śliczne, duże drzewko ozdobami własnego pomysłu i konstrukcji.

Tymczasem, na auli stoły już ustawione, nakryte białym papierem. Dookoła krzesła. —

Niedziela.

Po nabożeństwie słyszymy ostatnie jeszcze rady i wskazówki. Mamy przyjść o 3-ej pop.

Przychodzimy. Zdążamy do kuchni, gdzie zastajemy już Matkę Gertrudę, która wielką łyżką miesza coś w dużym, dużym garnku. To »coś«, to barszcz. »A, to z tych buraków, obieranych wczoraj« — przypominam sobie.

W drugim ogromnym garnku bulgoce kapusta.

»No, teraz trzeba jeszcze wymieszać mak z cukrem«.

»Będą kluski z makiem«.

Godzina 4-ta.

Wchodzi I-sza rodzina; przy furcie dostaje swój numer, a potem, wprowadzona do szatni, zdejmuje płaszcz i myje ręce przy kranach.

Nie wiem dlaczego, ale w czasie tej ceremonji, aż 2-je dzieci ni z tego ni z owego rozpłakało się.



Prezydjum Samorządu.

Do godz. 5-tej przyszły już wszystkie rodziny. Idą teraz do kaplicy.

Błogosławieństwo.

Chylą się wszystkie głowy. Cisza.

A potem wszyscy na hall.

Jedna ze starszych, prowadzi zabawę z maleństwami.

Wreszcie dzwonek. Biedni siadają przy stołach, opiekunki stoją przy nich.

»Co teraz będzie?«

»Nie wiem, ale zdaje mi się przemowa«.

»Czyja?«

Przemowa. Naprzód do zebranych zwraca się Ks. Sokołowski. Potem Matka Gertruda.

Jakoś dziwnie miło i dobrze jest teraz. Teraz właśnie, w tej chwili, gdy Matka, w prostych słowach, a tak serdecznych, zwraca się do nich, do tych, którzy dziś są najważniejszą osobą — do biednych. Dziękuje im, że przyszli i że pozwolili nam, uczennicom pracować i oddać im swe serca.

»Tak przyjemnie jest komuś oddać swe serce. Kimś się choć krótko zająć«. — Słyszymy słowa matki.

Tak, to prawda. Żadnej w tem niema przesady.

Wiemy o tem dobrze.

Matka skończyła.

Na podwyższenie wchodzi jedna z koleżanek.

I ona też chce, w imieniu nas wszystkich wypowiedzieć to, co każda w tej chwili czuje.

A potem życzenia. Szczere i proste. Naprzód ogólne, a potem każda opiekunka dzieli się opłatkiem ze wszystkimi członkami rodziny.

Za chwilę wnosimy barszcz i rozlewamy go na talerze. Wszyscy jedzą. Gwar i ożywienie nie ustają. Na podjum koleżanki śpiewają kolędy. Choinka ślicznie ubrana. Świeczki umieszczone na niej rzucają ciepłe wesołe blaski na salę.

Może drzewku też jest przyjemnie, że może ucieszyć biedne dzieci.

Druga potrawa, kapusta z kartoflami.

A w końcu kluski z makiem.

»Wszystko zjedzone« — cieszymy się.

»Marysiu! Matka powiedziała, że trzeba wziąć dzieci na hall«.

Za chwilę aula opróżniona. Stoły usuwa się pod ściany, krzesła też. Okna naoścież otwarte.

Właściwie już koniec. Ale teraz przedewszystkiem trzeba dbać o porządek przy wychodzeniu.

Zajmujemy znów swe placówki przy furcie i w szatniach. Nagórze starsza koleżanka w mundurze P. W. donośnym głosem wywołuje numery rodzin, które otrzymują paczki przy furcie, dla siebie przeznaczone. Ostatnia rodzina już wyszła. Teraz trzeba sprawdzić, czy czego nie zapomnieli.

Nic. »Porządek nadzwyczajny« — cieszy się Matka. Nie mówimy nic. Poco? Przecież i tak cieszymy się. I czujemy, że taka uroczystość przydałaby się najmniej 2 razy w roku.

K. Albrecht. Kl. II a.



Śniadania w Spółdzielni.

* * *

Pomrók zimowego wieczora i srebrny blask księżyca obejmują kaplicę. Cicho, spokojnie, a jednak zdaje się, że Chrystus Pan przebywający w Tabernakulum czeka na kogoś... i rzeczywiście, w tej chwili do kaplicy zaczyna wpływać powoli szara brać ubogich. Płomyki zapalonych świec rzucają blaski na ich nędzne twarze poorane zmarszczkami, na dobre, zmęczone oczy, na płowe głowiny rozmodlonych dzieci, składając pocałunek na ich drobnych wychudłych twarzyczkach.

Wyszedł Ksiądz w złocistym ornacie, z chóru płynie śpiew. Chrystus z monstrancji błogosławi lud pogrążony w pokornej modlitwie, korzący się w tej chwili do stóp Pana. Ktoś zaintonował pieśń, a z nią złączyły się głosiki dziecinne, ciche westchnienia starszych, ukradkiem ścierane łzy...

H. Dąbrowska
Kl. II. a.

— — — — — — — — —

Móc dawać komuś życzliwość, serce i miłość to niewymowne szczęście! Jakie cudne zadanie otrzeć bolesne łzy bliźniego, otrzeć choć na chwilę i pozwolić zapomnieć mu o troskach o chleb powszedni, nacieszyć wzrok jego rozbawioną buzię dzieciaka. Nie trzeba słów, by zrozumieć doniosłość Gwiazdki. Jak śliczne są te biedne dzieciaki ubrane ubogo! Jakże są one miłe kiedy z zachwytem, z paluszkami w buziach patrzą na iskrzącą się choinkę. *Kl. II. a.*

— — — — — — — — —

Drobne rączęta dzieci uniosły swe paczki z podarunkami i napewno w ich serduszkach pozostaną niezatarte wspomnienia iskrzącej się choinki, jasnej, pełnej światła i przestrzeni auli.

I ten Jezus, który błogosławił głowy naszych biednych gości w naszej kaplicy, naprawdę słał w świat cały prawdziwą wiarę wspólnych, serdecznych uczuć naszych i tych biednych.

Kl. II. a.



Opłatek Spółdzielni „Czyn".

ny. Punktem kulminacyjnym tych uczuć była proklamacja Jana Kazimierza czyniąca Ją „Królową Korony polskiej".

Ogromny wpływ wywarł obraz na rozwój polskiego malarstwa kościelnego. Prawie wszystkie dawniejsze obrazy kościelne były na nim wzorowane. Jest to jeden z najpopularniejszych obrazów Madonny. Wiele jego kopij i fragmentów znajdziemy rozsianych po całej Polsce. Niema domu ani chaty, gdzieby nie królował choć najlichszy obrazek „Matuchny Częstochowskiej".

Wizerunek Jej ma znaczenie talizmanu. Rycerze idący w bój z nim jedynie czuli się pewni i odważnie rzucali się w wir walki, gdy na piersiach mieli zawieszony ryngraf Niepokalanej Dziewicy. Obraz Jej wyszywano na sztandarach i malowano na odznakach państwowych.

Królowa Polski wywdzięcza się nam troskliwą opieką. Otaczała nią swój wybrany naród w czasach niewoli — w czasach walk o wolność — i otacza nas nią teraz w wolnem państwie.

Basia Morawska ucz. II. kl. gim.
SS. Ursz. w Poznaniu.

ŻYCIE

Jedna pisze o współżyciu z ludźmi, inna o prawdzie i przyjaźni, poruszane są tematy o życiu. Są zadania wzniosłe, piękne, szumne, napuszone bogatym stylem.

Są zadania proste, lecz jasne i porywające.

Do jakiej kategorji moje zadanie należy?

Nie wiem!

Który temat rozwiązać?

Nie wiem!

Wiem, że zadanie jest nieudolne, że treść nie odpowiada tematowi, ale mam tę właściwość (przykrą), że gdy chcę napisać coś od serca, o czemś, na czem mi bardzo zależy, wtedy nic mi się nie udaje, wychodzi inaczej, chybia celu, a całość przedstawia się jako brzydkie pismo i głupia treść.

Może dojdę jeszcze do tej doskonałości, że będę umiała wypowiedzieć swoje myśli i uczucia jasno, treściwie i nie sucho, ale tak od serca lecz umiejętnie.

— — — — — — — — — — —

Życie to walka.
W walce siły trzeba.
Siłą jest prawda,
A prawdą Bóg.

Życie jest bezustanną walką, ciągłą, straszną. Pełne bojów, triumfów, zwycięstw, upadków, zwątpień i znów górnych lotów.
W tej walce udział biorą ludzie.

Rozmaici ludzie.

Dobrzy, źli, optymiści, energiczni, ludzie słabej woli i znowu o woli zahartowanej jak stal, woli, która nie ugnie się przed niczem, nawet przed śmiercią.

Co jest pobudką do walki? Zysk materjalny lub chęć wzbijania się coraz wyżej i wyżej, gdzie niema końca szczęściu, gdzie nagrodą i zaspokojeniem jest Bóg!

Czem ludzie walczą? Miłością, nienawiścią, dobrocią, brutalną siłą, zazdrością, zaparciem się siebie, chciwością, ofiarą.

Kto zwycięża? Kto triumfuje? Często zło pokonuje dobro, nienawiść — miłość. Niestety, bo zło tak zakorzeniło się w duszach ludzi złych, że nie robi na nich wrażenia. Ale są inne jednostki, są ludzie, którzy całą swą siłą i energją walczą ze złem i zepsuciem Którzy nie dbają o własne życie, zdrowie, którzy depcą swoje „ja", byleby tylko nie dać się żwyciężyć nowej fali dzisiejszego świata — ludzie, którzy za cel postawili zwyciężyć, dotrzeć do słońca lub zginąć, lecz nigdy nie cofnąć się, nie uciec z pola walki:

To są idealiści!

Idealisto! Idź naprzód! Zawsze do zwycięstwa! Póki tchu w piersi twojej. Idź tą drogą, z której powrotu niema!

Idealisto, idź, zbudź, ożyw umarły świat!
Tobie powierzono to wzniosłe zadanie.
Idealisto! Ty nie zawiedziesz!

T. M.

Gdybym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał. Stałem się jako miedź brzękająca, albo cymbał brzmiący.

I chociażbym miał proroctwa, i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką naukę: i miałbym wszystką wiarę, tak iżbym góry przenosił a miłości bym nie miał: niczem nie jest..

Św. Paweł do Koryntjan 13, 1. 2.

Wilno było dla Mickiewicza Polską całą. Poprzez Wilno, na obraz i podobieństwo jego, widział Ojczyznę. Stąd poszedł na wygnanie, by nigdy do Polski nie wrócić.

Wilno jest jedynem miastem Polski, w którem pomnika Mickiewicza dotąd niema.

W poczuciu wielkiej odpowiedzialności swojej za ten stan rzeczy, społeczeństwo dawnej mickiewiczowskiej Litwy, dziś Ziemi Wileńskiej i Nowogródzkiej, podjęło się zadania, które musi przerastać siły jednego miasta, jednej dzielnicy.

Zorganizowane w Komitet Budowy Pomnika, społeczeństwo to przystąpiło do urzeczywistnienia swych zamierzeń, a teraz wzywa cały Naród Polski do pomocy. Potrzeba zbiorowego wysiłku, by skończyć chwalebnie to, co rozpoczęły zapał i wiara.

Najmniejszy dar będzie cenny. Z maleńkich kropelek wody składają się oceany.

Zrobiliśmy już wiele — jeszcze ostatniego pchnięcia brak.

Wzywamy cały Naród Polski: Doprowadźcie wraz z nami to dzieło do końca!

„Wzniesiemy w Wilnie pomnik ADAMA MICKIEWICZA takim, jakim wola będzie Narodu Polskiego aby stanął. Niech da każdy ile może!“

Za Główny Komitet Budowy:
(—) Lucjan Żeligowski — prezes.

Datki prosimy nadsyłać na konto naszej Redakcji.

ZBIOROWE WYDANIE PISM Bolesława Prusa

Rozpisana subskrypcja na Pisma Bolesława Prusa stała się wielkim ewenementem w naszym ruchu literacko-wydawniczym, a co więcej: w naszem życiu kulturalnem. Okazało się nagle, że nowele i mniejsze powieści Prusa — małe klejnoty prozy naszej, są od lat kilkudziesięciu wyczerpane. Że istnieje sporo arcydzieł Prusa, dotychczas wogóle nieopublikowanych! Że mnóstwo utworów nie doczekało się dotąd książkowego wydania, utknąwszy w starych rocznikach dziś już nieistniejących czasopism. Że wreszcie — rzecz nie do wiary — tak blisko nam, tak dobrze znane powieści, jak genjalna „Lalka“, „Faraon“ i tak dalej, czytaliśmy w postaci gruntownie zniekształconej przez cenzurę rosyjską i niemniej okrutną cenzurę tępych „poprawiaczy“.

Wielki to wstyd, że zbiorowe wydanie najgenjalniejszego naszego prozaika wszystkich czasów ukazuje się dopiero w 16 lat po odzyskaniu niepodległości. Ale lepiej późno niż nigdy.

Protektorat Akademji Literatury, nazwiska redaktorów: prof. Ign. Chrzanowskiego i profesora Z. Szweykowskiego, który od 6 lat przygotowuje teksty, dają gwarancję, że będzie to wydawnictwo jedyne w swoim rodzaju. Firma Gebethner i Wolff dokłada wszelkich starań, aby ta edycja, obejmująca 26 tomów, prezentowała się jak najokazalej i najpiękniej. W dodatku, co podkreślić trzeba, wyjątkowo tania cena w subskrypcji (już od Zł. 78.—) udostępnia tę najszlachetniejszą w mowie naszej prozę wielkiego pisarza i wychowawcy najszerszym masom naszego społeczeństwa. Miejmy nadzieję, że istotnie trafi ona pod strzechy.

SŁOWO WSTĘPNE

Koniec zeszłego wieku był okresem świetnego rozkwitu prozy polskiej. Tworzyli wtedy współcześnie — że wymienimy kilka tylko nazwisk — Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Dygasiński; jarzyła się już młoda sława Żeromskiego i Reymonta. Co nazwisko — to snop blasków; co dzieło — to promień chwały narodowej.

Wszyscy ci twórcy weszli już w poczet klasyków naszej literatury. Nie znać ich jest wstydem dla Polaka. A oto trudne czasy, jakie przeżywamy, sprawiły, że książek niejednego z tych pisarzy brak po bibljotekach i czytelniach.

Aby temu złu zaradzić, firma Gebethnera i Wolffa podejmuje teraz nowe wydania dzieł klasyków pod znakiem Polskiej Akademji Literatury. Przyjęliśmy ten zaszczytny protektorat najchętniej, w jasnem zrozumieniu, że ci prawdziwie nieśmiertelni pisarze już za życia ziemskiego stanowili akademję literatury polskiej, a dziś są obecni w zespole naszym i w każdym z nas zosobna. Korzystamy więc z tej pożytecznej dla narodu sposobności, żeby złożyć pokłon owym świetnym duchom, okazać im cześć naszą najwyższą i miłość najserdeczniejszą, jaką pokolenia pracowników ze sobą wiązać może i wiązać powinna.

Na czele podejmowanego wydawnictwa stają dzieła Bolesława Prusa. Znowu będziemy się cieszyli ogromnym genjuszem tego pisarza, jego niewyczerpaną dobrocią, nieposzlakowaną prawością i uśmiechem bez goryczy. Bolesław Prus — to przepyszny konar z samego pnia polskości: najsłuszniej też cały naród otacza jego pamięć czcią i wdzięcznością.

Polska Akademja Literatury.

RECENZJE.

Zasady i Rady na każdy dzień roku św. Franciszka Salez. Doktora Kościoła. Nakład Księgarni Katolickiej M. Łubieńskiej. Kraków, Florjańska 1. str. 148, cena zł. 0.80 opr. 1.30.

Ten zbiór myśli wyjętych z pism św. Biskupa a zebrany w niedużą książeczkę, jest wyrazem wewnętrznego życia świętego. Uczy on nas w przedziwny sposób swojej metody, jak zwyciężyć siebie, jak zdobyć się dla Boga na trudniejszą ofiarę, jak wznieść się do Niego. Nadaje się ta książeczka na upominki dla dorastającej młodzieży i dla starszych czytelników. *X. H. Weryński.*

Bolesław i Józef Adamowicze. Przez Atlantik. Wydawnictwo M. Arcta — Pod egidą Aeroklubu R. P. Ciekawe przeżycia naszych sławnych lotników w najdrobniejszych szczegółach, żywo z ustnych relacyj zebrał i opracował St. Strumysk Wojtkiewicz. — Książka ta zajmie naszą młodzież, a już bezwarunkowo znaleźć się powinna w każdej bibljotece L. O. P. P.

Kalendarz Iskier na rok 1935. Mała encyklopedja i notatnik. Rocznik XI. Opracował Władysław Kopczewski. Nakładem Iskier, Warszawa 1935. Stron 256. Cena egzemplarza w miękkiej płóciennej oprawie ze złoceniami 3 zł. 80 gr.

Kalendarz zawiera bogactwo wiadomości ze wszystkich dziedzin wiedzy i życia, od historji, literatury, geografji — do matematyki, chemji, astronomji włącznie, tyle zwięzłych poradników praktycznych, że jest naprawdę niezbędnym dla każdego.

W porównaniu z rocznikami dawniejszemi, kalendarz przynosi szereg zupełnie nowych wiadomości i działów, zwłaszcza z okresu walk o niepodległość i jej utrwalenia, współczesność polska — szczególnie bogato była reprezentowana — przedstawiona jest w szeregu tablic, wykazów i zestawień.

„Kalendarz Iskier", to prawdziwy przyjaciel, towarzysz, doradca we wszelkich wątpliwościach i okolicznościach. Nowy rocznik „Kalendarza Iskier" powinien zyskać sobie przyjaciół wśród młodzieży, a także wśród szerokich sfer świata kulturalnego.

Odpowiedzi od redakcji do P.T. Autorów „Dziś"

Manuskrypt bez podpisu, zaczynający się od słów: „Żłóbek Bożej Dzieciny"... uważamy za rzecz ładną, pełną nastroju i sentymentu religijnego, nadawałaby się raczej do jednego z pism o charakterze wybitnie religijnym. Szkoda, by szła do kosza, a nawet do teki...

W. Siostra Krysta Niepokalanka w Jarosławiu. Prosimy Alinkę H., aby nam przysłała fotografję z wycieczki, a wtedy bardzo dobry opis, wydrukujemy. Proszę swoje uczennice zachęcić do wzięcia czynnego udziału we współpracy redaktorskiej w dziale „Jutro".

p. J. Bilwinówna. Jasełka bardzo ładne, ale niestety w tym roku już nieaktualne. Czy wydawnictwo „Ostoja", Poznań, Pocztowa 15, nie wydałoby tego? Radzimy tam się zwrócić. „O Jędrku, co udawał djabła" nie wydrukujemy. Nowelka ładna, ale całość niedość dostosowana do pisma. Na nowelki czekamy. W miarę natchnienia proszę dalej pisać wiersze, bo talent jest...

p. Kłoniewski. „Jak dobro i sława zapanowały"... jeszcze jest w tece, ale pójdzie do druku. Wiersze już w tym roku nieaktualne. Prosimy coś z nastrojów zimowych na luty.

p. Karczewska. „Przedziwne miasto" musi jakiś czas pobyć w tece, gdyż niedawno o nim pisałyśmy, zresztą wśród mroźnej zimy dziwnieby odbijało południowe słońce. Na omawianą ankietę oczekujemy.

p. Krasiński. Legenda śniegu raczej nadawałaby się dla młodszych dzieci. „Symfonja miasta" i „Wspomnienia nie pójdą".

Odpowiedzi Red. do współpracowniczek „Jutra"

Ir. Bogajewska i Michelini. Ładne oba obrazki, ale nieaktualne. Prosimy dalej współpracować z nami.

Wesiołowska — Lublin. — Przepraszamy za gruntowną przeróbkę pracy, ale trzeba było tak ratować głębokie myśli. Za dużo rezygnacji biernej i pesymizmu. Radzimy przejąć się duchem radosnego katolicyzmu wyrażonego w artykule „Refleksje noworoczne". Artykuł pójdzie w lutym.

T. M. Myśli wzniosłe i wielkie niewprawne pióro nie umie jeszcze oddać, dlatego forma czasem zawodzi. — Ocena zadania: „bardzo dobrze" błędy ortograficzne: „niedostatecznie", bardzo niewyraźne pismo, ale Redakcja patrzy o wiele pobłażliwiej niż srogie oko profesorskie. — Szczerością jesteśmy ujęte i zadanie po uskutecznieniu odpowiedniej korekty błędów ortograficznych drukujemy w całości.

TREŚĆ N-ru 5-go:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 7 ZŁ.

Numer pojedynczy 0·70 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków. ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.